



DLA TYSIĄC LILI  
TAJNE Nauczanie  
Kodexu

11 XI 2003r.

WIŃSKA Urszula

1817/USK



SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — WIŃSKA  
Urszula  
T. 1817/WSK

I/1. Relacja ✓ K. 71, s. 1-71

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora ✓ K. 1, s. 2

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ K. 9, s. 9

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora ✓ K. 33, s. 1-33

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. ✓ K. 5, s. 1-6

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... ✓ K. 6, s. 1-6

IV. Korespondencja ✓ K. 14, s. 20

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓ 1

VI. Fotografie ✓ zob. też II/3; II/4; II/5; II/6; V

## I/1. RELACJA

- relacja własna "Przez życie człowieka przeplata się historia (1902-2000)", mps (oryg.), k. 71, s. 1-71



Urszula Wińska

Przez życie człowieka  
przeplata się historia  
(1902 - 2000)





## 1. Życiorys.

Urszula Wandasiewiczówna, 5.07.1932, Wińska, córka Antoniego i Rozalii Wyszatyckiej urodziłam się 28 marca 1902 r. w Dynowie - dziś województwo rzeszowskie.

Szkołę podstawową ukończyłam w Dynowie, a Gimnazjum Realne w Jarosławiu, zdając maturę w 1922 roku.

Studia polonistyczne rozpoczęłam w 1923 roku na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po roku przeniosłam się na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, gdzie studiowałam pod kierunkiem prof. Ignacego Chrzanowskiego.

Pracę nauczycielską zaczęłam w 1927 r. w Seminarium Nauczycielskim w Ropczycach.

Dyplom Nauczyciela Szkół Średnich uzyskałam 9 listopada 1929 r.

W 1929 r. zostałam zaangażowana jako nauczycielka języka polskiego i metodyki nauczania w Seminarium Nauczycielskim w Bochni.

W 1932 r. uzyskałam tytuł doktora nauk humanistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim na podstawie pracy pt. „Poczucie samotności duchowej w życiu i twórczości Juliusza Słowackiego” pisanej pod kierunkiem prof. Ignacego Chrzanowskiego. W tym samym roku wyszłam za mąż za Tomasza Wińskiego rotmistrza Wojska Polskiego.

Wybuch wojny 1 września 1939 r. zastał mnie na stanowisku dyrektorki Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego w Bochni.

Jako przewodnicząca wówczas Rodziny Wojskowej otrzymałam z dowództwa 5 Dywizji Taborów, 1 września o godzinie

16-tej pismo, którego treść doskonale pamiętam, „Bochnia jest na linii frontu, zarządzam ewakuację Rodziny Wojskowej. - Dwa samochody ciężarowe kryte i dostawczy z benzyną. Kierunek na Łuck, tam Wojskowa Komenda Miasta wyznaczy kwatery. Zabrać rzeczy niezbędne na krótki pobyt. Wyjazd 2-go przed południem”.

Do tego dołączona imienna lista osób z dziećmi.

Razem 42, ze mną i moją rodziną 46 osób.

Osoba doręczająca pismo powiedziała: samochód będzie o godzinie 9-tej. Ja, z moim rocznym synkiem w poduszce, miałam miejsce przy kierowcy w pierwszym samochodzie. Na szosie kierowca włączył nasze samochody między konwój wojska.

3-ciego września po południu byliśmy w Łucku. W Komendzie Miasta otrzymałam „kwatery”.

W Poddębcach - plebania, od Łucka 25 kilometrów.

Pięć stanic wojskowych, odległych po kilka kilometrów od siebie. Ze względu na zmęczenie mego dziecka wysiadłam z moją rodziną na pierwszej „kwaterze”. Była to plebania księdza prawosławnego. Przyjęto nas życzliwie.

5 września przyjechał do mnie płatnik Dywizjonu por. Wnęk. Odwiedził już Stanice, była tam jego żona z dziećmi, ocenił sytuację bardzo pozytywnie. Wypłacił nam wszystkim awaryjnie trzymiesięczne pobory mężów, podał miejsce postoju samochodów i zostawił pieniądze na benzynę. Gdy skończył zapytałam dlaczego już w drugim dniu wojny wojsko ucieka na wschód? W odpowiedzi usłyszałam: „To nie jest ucieczka to strategia. Koncentracja wojska dla utworzenia frontu wschodniego. Nasi sojusznicy- Francja, Anglia mają w ciągu dwóch tygodni od wybuchu

wojny uderzyć od zachodu, a my od wschodu. To będzie błyskawiczna wojna. Z uśmiechem dodał. Jeszcze przed gwiazdką rozpocznie pani naukę." Jego córka była moją uczennicą. Zapytałam, czy wszyscy oficerowie Dywizjonu są w pobliżu? Odpowiedział z uśmiechem: „Wszyscy z wyjątkiem rotmistrza Wińskiego." A co z mężem? Rotmistrz Wiński od początku naszej wędrówki dziwnie się zachowywał. Był zamyślony, milczał. Na jednym postoju zjawił się niespodziewanie na swoim koniu i powiedział: „W lasach Janowskich walczy pułk kawalerii (nie pamiętam nazwy) - jestem żołnierzem - jadę zameldować się do wal-ki". Zasalutował i powiedział: „panom radzę zrobić to samo". Ktoś rzekł, poniosła go kawaleryjska fantazja, - nie powiedziałam głośno, tylko pomyślałam - to w stylu Tomasza. Porucznik Wnęk żegnając się zapewniał, że nas jeszcze odwiedzi.

17 września - niedziela. Z dzieckiem na ręku poszłam do cerkwi, była blisko. Mała, drewniana, uboga. Było ciasno, więc wyszłam po chwili. Tu muszę wspomnieć, że tam niedziela to był naprawdę dzień Pański. Odczuwało się to w całym otoczeniu.

Wieczorem Matiuszka powiedziała, bym przyszła po wiecz-erzy do ich izby. Nasza izba była w przybudówce. W izbie obok Batiuszki siedział mężczyzna ze słuchawkami na uszach. Batiuszka przedstawił go - zapamiętałam tylko - pułkownik armii carskiej.

Ten odłożył słuchawki i w klasyczny sposób dobrze wycho-wanego oficera przywitał się ze mną.

Batiuszka powiedział, dzisiaj nie słuchałem radia, słu-chał pułkownik, są złe wiadomości, niech on sam powie.



Pułkownik: od tygodnia słuchając radia, wiedziałem, że coś się stanie, były pieśni wojenne, żołnierskie. A dzisiaj się wyjaśniło. Jutro rano (18) bolszewicy przekroczą granicę polską, by wziąć w opiekę naród ruski i białoruski, bo rząd polski uciekł. Na to Batuszka: Dla was, Rodziny Wojskowej lepiej być pod okupacją niemiecką. Bolszewicy was tu nie zostawia, wywiozą na Sybir. Nas czeka śmierć. Dla nas nie ma ratunku. Myślałem, gdyby Pani tu była, to może nasze dzieci uratowałyby się przy pani. Ale sumienie każe mi powiedzieć, co was czeka.

Zapytałam - co robić? Pułkownik: uciekać, macie samochody. Jeśli stąd wyjedziecie jutro o 12-tej to uciekniecie przed bolszewikami. Oni tu będą między 1 a 2-gą. Ale nasze samochody są daleko, 7 kilometrów dodał pułkownik. Trzeba iść na skróty przez pola, ja pokażę. Wstał powiedział: nie traćcie czasu. Nałożył jakiś kubrak i kapełusz nasunął na czoło. Poznałam, to człowiek, którego kilka razy spotkałam z widłami przy stajni. Tak się maskował.

Szliśmy przez wieś, potem długo przez pola, ani słowa nie powiedział do mnie. Gdy się zatrzymał wskazał ręką ciemną dal i powiedział: tam pójdziecie. Nie ma rowów, nie ma wody, bezpiecznie. Czasem zając wyskoczy z kapusty. Ale ja mogę zabłądzić! Spojrzał na niebo i wskazał mi jaśniejszą gwiazdę. Położył rękę na moim ramieniu i rzekł: „ruszajcie z Bogiem, ”Podziękowałam i ruszyłam. Księżyc świecił jasno, patrzyłam na gwiazdę i szłam popędzana myślą- Sybir-Sybir. Nadleciały samoloty, w świetle księżycy wyglądały jak duże, srebrne ptaki. Niby



płatki śniegu leciały ulotki propagandowe. Wiedziałam co tam głośzą. Podniosłam jedną, ale jej nie przeczytałam. W pewnej chwili nasunęło się pytanie - czy kierowcy mają benzynę? To pytanie dręczyło mnie już do końca mojej drogi.

Gdy doszłam do celu, kierowcy jeszcze spali. Przywitałam ich pytaniem, czy mają benzynę? Usłyszałam - nie mamy. Osunęłam się na podłogę. Nie zemdlałam. Miałam świadomość gdzie się znajduję. Podnieśli i posadzili mnie na krześle, a jeden powiedział: „Niedaleko, w Kiwercach jest stacja benzynowa, tam może dostaniemy”.

Wtedy powiedziałam, co nam grozi. Benzyna była. Kierowca z samochodu dostawczego wrócił z pełnymi 2 beczkami. Teraz należało pojechać do Stanic, oni tak nazywali chutory, by zawiadomić kobiety.

Nie przypuszczałam, że spotkam się z takim oporem. Dopiero gdy zażądałam podpisania, że dobrowolnie pojedą na Sybir, zrozumiały. Została tylko żona porucznika. Matka była chora, podejrzenie tyfusu. Ona nigdy już nie wróciła do Bochni.

Na plebanii czekali na mnie. Batuszka powiedział, że całą noc modlił się. Pułkownik przeszedł z grabiami i zaciśniętą pięścią wyraził swoje zadowolenie.

O godzinie 12-tej czekałam na samochody. Przyjechali przed 2-gą. Mój kierowca blady, powiedział tylko, że mieli wypadek. Gdy dojechaliśmy do szosy, jechali nią sowieli. Przeczekaliśmy chwilkę i dołączyliśmy za nimi. Przed Łuckiem duży szpaler, przeważnie Żydów, którzy witali najeżdżące kwiatami. W Łucku poszłam do Komendy Mia-

sta. Tam oficerowie w polskich mundurach powiedzieli po rosyjsku, wojna skończona, możesz jechać wszędzie.

Pojechaliśmy - na moście nad Bugiem żołnierze polscy i radzieccy stali grupkami, palili papierosy i przyjaźnie rozmawiali. Nikt nas nie zatrzymywał. Wieczorem jechaliśmy na pełnych światłach. Wtedy na szosie stanął polski żołnierz i wołał: zgasić i stać. Zbliżył się do naszego samochodu z krzykiem, że front, a my świecimy. Powiedziałam mu, że wojna skończona. Opowiedziałam o Łucku. Poprosił, by poczekać aż on wróci. Wrócił z dużą grupą żołnierzy, prosił, bym powtórzyła to, co powiedziałam jemu. Stałam na stopniach samochodu i jak najgłośniej mogłam powiedziałam. Usłyszałam: „Jezus Maria” i gdzieś z głębi głośną komendę: „Na Kowel”. Biegli przez szosę i wtedy mogłam zobaczyć, była to pewnie cała kompania. Pojechaliśmy dalej bez świateł. Nie spotkaliśmy ani pojazdów, ani ludzi.

Rano zobaczyłam tablicę z napisem Hrubieszów. Chłopiec, może 12-letni, biegł i zawołał: nie jedźcie do miasta, tam Ukraińcy mordują ludzi. Popatrzyłam na mapę, która miałam ze sobą i stwierdziłam, że nie pojedziemy przez Hrubieszów. Zobaczyłam Bug, odczytałam, że będziemy jechali przez rzekę. Czy jest most, a może zbombardowany? To mnie niepokoiło. Zatrzymałam ręką mężczyznę. Podeszedł do samochodu. Zapytałam czy tutejszy i czy jest most na Bugu. Zastanowił się i powiedział: „Był”. Wtedy ja zawołałam: „Jezus Maria”. Mężczyzna: jest drugi, drewniany. My w zimie wozimy na nim drzewo z lasu. Ofiarował się wskazać, jak tam dojechać. Stanął na stopniu samochodu i ujechaliśmy z 1/2 km. Pokazał odległe pastwisko, jak to

I 118

nazwał, wskazał którądy tam dojechać: przez środek przejechać na drugą stronę. Wtedy zobaczymy, gdzie jest most. Podziękowałam tam i pojechaliśmy według tych wskazań. Gdy samochody wjechały kilka metrów na te pastwiska ugrzęzły po osie. Nie można było ani cofnąć, ani jechać. Wpadliśmy w pułapkę. Powstało zamieszanie, kobiety chciały wysiadać, zapadały w błoto. Wtedy nadeszła gromada Ukraińców, zażądali ode mnie broni, gdy zobaczyli maski przeciwgazowe. Weszli do samochodów i zabrali wszystkie, a było ich sporo. Kierowcy zniknęli - zrozpaczona zwróciłam się do tej bandy, by nam pomogli. Usłyszałam w dobrej polszczyźnie: „To kraj rad, każdy radzi sobie sam”. Nadeszli kierowcy z wieśniakami i końmi. Wyciągnęli samochody. Dojechaliśmy do starej, nieczynnej karczmy przy wiejskiej, polnej drodze i tam do późnego popołudnia wypoczywaliśmy. Kierowca nie chciał wracać do szosy, jedziemy w dobrym kierunku, to gdzieś znajdziemy szosę, powiedział. Długo jechaliśmy przez puste pola, potem był las. Wjechaliśmy w głęboki wąwóz i zrobiło się ciemno. Nadszedł na motorze Niemiec i wołał, by zgasić światła. Trudno było się porozumieć. On stał na górze my w wąwozie. W końcu coś zrozumiał i kazał jechać bez świateł do leśniczówki, tam przenocować i jechać dalej. Wszystkie samochody zajechały na podwórze leśniczówki. Nikt nie wyszedł do nas. Było ciemno w domu. Zaczęłam kołatać do drzwi. Otworzył się lufcik w drzwiach. Zobaczyłam przerażoną twarz starego człowieka. Powiedziałam mu że, chcemy przenocować. Usłyszałam: Po lewej stronie jest stodoła zrzućcie słomy na klepisko. Z drugiej strony jest szopa, tam nie wchodźcie, jest pełna krwi. Niem-



cy wymordowali naszych. Nikomu nie powiedziałam. Kierowcy rozłożyli słomę i kobiety pokładły się z dziećmi. Mój Andrzejek, gdy się z nim położyłam na słomie, zaczął przeraźliwie płakać. Aby inni mogli spać, poszłam z nim na swoje miejsce do samochodu i tam spędziłam noc. Już szarzało, gdy z domu wyszła młoda kobieta, zobaczyła mnie i przyszła do mnie do samochodu. Powiedziałam, dlaczego tutaj spędziłam noc. Ona też nie spała, bo mąż chory i opowiedziała szczegółowo to dramatyczne wydarzenie. Sama była w lesie z krowami i nie widziała. Zapytałam dla orientacji o najbliższe miasto. Usłyszałam: Radymno. Jak daleko do R. Opowiedziała, że trzeba jechać przez las, potem drogą do szosy i ze 3 km. do miasta. W mojej głowie błyskawicznie powstał plan. Zapytałam kobietę czy może nam, około 40 osób, dać mleko na śniadanie. Powiedziała, że ma 4 krowy. Zapłaciłam pewną kwotę i prosiłam, by zaczęła przygotowywać nam mleko. Z dzieckiem w poduszce poszłam do stodoły. Jeszcze spali. Zawołałam - pobudka! Mam dwie ważne wiadomości: Jest dla wszystkich mleko na śniadanie, już zapłaciłam i najbliższe miasto to Radymno. Jednym tchem wymieniłam stacje: Jarosław, Przeworsk, Rzeszów, Tarnów, Bochrów. Jeśli stąd szybko wyjedziemy i bez postojów to wieczorem będziemy w Bochni. Dodałam, że w domu jest chory człowiek i należy zachować spokój.

Wszystko odbyło się bardzo sprawnie i przed godz. 7-mą pożegnaliśmy leśniczówkę.

Na szosie, gdy minęliśmy tablicę z nazwą Rodymno, widać było z daleka koszary wojskowe. A przed nimi dwa czworokąty. Kierowca zawołał - to nasi jeńcy. Mniejszy czworak

to oficerów, większy żołnierzy. Pilnują ich Niemcy. Przyspieszył bieg. Na drodze nikogo ani ludzi ani pojazdów. Jechaliśmy bez przeszkód, dopiero w Przeworsku dwóch Niemców chciało zarekwirować samochód. Powiedziałam, że odwiozę ludzi na miejsce i za pół godziny wrócę. Zapisał numery. Bez postojów, z kilku przygodami dojechaliśmy do Bochni przed północą.

20 września, w środę. Dom nasz nienaruszony, ale mieszkanie splądrowane. Ani krzesła, by usiąść, ani kubka na wodę. Jednak nasze zmęczenie było tak wielkie, że to nie robiło wrażenia. Było się położyć i zasnąć.

21 września, czwartek. Poszłam do szkoły, tam już woźny, Wojciech Kalicki sprzątał i wietrzył po żołnierzach niemieckich, którzy wczesnym rankiem opuścili szkołę. Serdecznie przywitaliśmy się i on bez słowa wziął mnie za rękę, poprowadził do biblioteki, gabinetu z pomocami naukowymi i w końcu do kancelarii. Gdy usiadłam za biurkiem, a Kalicki, jak zwykle oparty o parapet okna zaczął opowiadać, jak uratował cały majątek szkoły, miałam wrażenie, że jakaś żelazna kurtyna zapada za mną. Skończył się pierwszy akt wojennych przeżyć a zaczynają się nowe zadania.

Uratowanie dobytku kosztowało Kalickiego trzy flaszki wódki i wszystkie noce przespane w szkole. Mieszkał daleko. Niemcy mogą przyjść jeszcze tej nocy. Postanowiliśmy przenieść wszystko do mnie. Mam duże mieszkanie, jeden pokój przeznaczymy na to. Kalicki zajmie się przeniesieniem. Byłam pewna, że zrobi to dobrze. Był ambitny i odpowiedzialny. W drodze do domu dowiedziałam się, że

1111

przed dwoma dniami Niemcy opuścili nasz dom i dyrektor Galas, mieszkający na tej samej ulicy, oglądał mieszkanie i przypilnował, by uczniowie wynieśli do sąsiadki rzeczy, które mogły być skradzione.

Wkrótce na spokojnej ulicy Gołębiej zaczął się ruch, uczniowie znosili od sąsiadów nasze rzeczy, a Kalicki z uczennicami zwoził na dwukołowym wózku rzeczy szkolne. Dobrze, że dom miał dwa wejścia i nie było zamieszania. Do późnego wieczora znoszono rzeczy szkolne.

22 września, piątek. Przyjechała gosposia. Przywitaliśmy się serdecznie choć nasze rozstanie 2 września było dramatyczne, gdy zamiast jechać ze mną, pojechała do Wojnicza do matki. Teraz przyjechała zobaczyć, co dzieje się z rzeczami, które ukryła w piwnicy, przysypane węglem. Wszystko było uratowane. Z pomocą dwóch wynajętych kobiet doprowadziła mieszkanie do pierwotnego stanu. W sobotę wieczór odjechała do matki, którą zostawiła pod opieką sąsiadki.

24 września, niedziela. Wieczorem jakiś mężczyzna przyniósł w małym woreczku może kilogram cukru i list od męża, powiedział, że dostał to w Biadolinach. Jedna stacja kolejowa przed Bochnią. W woreczku była też kartka od męża: „Bądź jutro o 9-tej na dworcu. Jedziemy do oflagu.”

25 września, poniedziałek. Już o godzinie 8-mej byłam na dworcu kolejowym. Zobaczyłam tam panią Chmielewską, żonę kapitana, był z innej jednostki wojskowej, więc nie należała do naszego Oddziału Rodziny Wojskowej. Znałam ją. Ona też otrzymała od męża podobną przesyłkę i wiadomość. Gdy o godzinie 9-tej pociąg nie przyjechał



prosiłyśmy dyżurnego ruchu, by zatelefonował. Przy nas otrzymał wiadomość: „ Pociąg ten odstawiony na bocznice, nie wyjedzie, podejrzenie epidemii”.

Wynajęłyśmy dorożkę i pojechałyśmy do Biadolin odległych o dwadzieścia kilka kilometrów.

Dojeżdżałyśmy do dworca kolejowego w Biadolinach, gdy odjeżdżał pociąg z wojskiem. Zawiadowca stacji po chwili czekania wsadził nas na platformę pociągu towarowego. W Krakowie jeździłyśmy tramwajami, taksówkami szukając w koszarach naszych mężów. Już zapadał wieczór, byłyśmy na końcu ulicy Długiej. Przechodząc obok grupy mężczyzn usłyszałam kilka słów: generał Mond, pociąg w polu, tam poprowadzą. Zapytałam czy chodzi o naszych jeńców, szukamy ich. Krótko opowiedziałam o naszych poszukiwaniach. Jeden ze stojących powiedział, że nas zaprowadzą na skrót, to może jeszcze ich spotkamy, jeśli nie wsiedli już do pociągu. Pospiesznie szliśmy bocznymi ulicami i zobaczyłam długi szereg wojska, zapytałam żołnierza, gdzie są oficerowie, naprzodzie powiedział. Już było zupełnie ciemno. Przechodząc wzdłuż szeregów głośno wołałam Tomasz Wiński, rotmistrz Wiński! Już dochodziłam prawie do czoła szeregu, gdy usłyszałam, tutaj i zobaczyłam podniesioną rękę. A to był nieznany mi pułkownik. Zapytał, czy pani jest żoną Tomasza? To niech go pani szuka już w domu. Dlaczego pani nie była na stacji w Bochni? Na następnej stacji wysiadł z pociągu. Teraz oficerowie zaczęli mi podawać listy, paczuszki prosząc, bym według adresu doręczyła. Miałam dużą torbę, całą wypełnili.

Do Bochni wracałyśmy piechota, pociągi nie jeździły na wschód. Na drodze było rojno, wracali uciekinierzy. Rano przyszedłam do domu. Mąż był w swoim cywilnym ubraniu, ale nie opuszczał swego gabinetu. Ukrywał się przed ludźmi.

26 września, wtorek. Tomasz wieczorem wyszedł z domu nie na ul. Gołębia, ale przez ogród na planty. Pieszo jak uciekinier z plecakiem zawiniątkiem, w którym było ubranie cywilne pożyczone od ogrodnika w Podłężu. Miał tam wstąpić i dalej do Krakowa, cały dzień rozmawialiśmy w odosobnieniu. Tomasz zostawił mi kilka wskazań. Dla wszystkich, nawet przyjaciół. „Poszedł na wojnę i nie mam wiadomości”. W Krakowie wiadomości o nim dowiem się w sklepiku „Nabiał” ul. Karmelicka. Z rodziną Wanalasiewiczów nie nawiązał kontaktu. Uporządkował paczuszki i listy oficerów. Sam miał trzy i razem było 39. Uświadomił mi, jak trudne zadanie jest przede mną. Muszę działać bardzo dyskretnie i ostrożnie, ponieważ w Bochni jest jedna poczta. To robota na 2-3 miesiące. Martwiliśmy się o Leona, brata mego i Kazię, kuzynkę, nie wiedziałam, gdzie są. Kiedy teraz wspomynam o tym - rozumiem, dlaczego nie mówiliśmy o tym, co przeżyliśmy do tychczas. To wczoraj było za nami - a jutro niepewne i niepokojące.

Po tych dwudniowych intensywnych przeżyciach trzeba było wrócić do realiów bochnieńskich. Naciski rodziców, grona pedagogicznego sprawiły, że postanowiliśmy z dyrektorem Gimnazjum Męskiego, p. Piotrem Galasem rozpocząć naukę, gdy tylko wojsko opuści gmach gimnazjum Męskiego. W tym gmachu mogły się pomieścić obie szkoły. Wychodziliśmy z

założenia, że nie było żadnego nowego zarządzenia i obowiązuje nas dotychczasowe. Mieliśmy świadomość że ryzykujemy.

Moje grono nauczycielskie było prawie w komplecie: mgr Janina Szermówna, historyczka, mgr Anna Kaczmarczykowa, fil. Łacińska, mgr Janina Golemowa, przyrodniczka; prof. Janik, germanista, mgr Zofia Launerowa, wychowanie fizyczne, Jan Kuc, śpiew. Brakowało Lucyny Lustgarten, matematyka i fizyka, Żydówka, liczyłam że się zjawi. Pierwszą radę pedagogiczną odbyliśmy w moim mieszkaniu. Gdy zaistniały warunki, tj. gdy wojsko niemieckie opuściło gmach szkolny i przez kilka dni nie zjawiło się nowe - 10 października rozpoczęliśmy naukę. Zapowiedzieli ją księża w obu kościołach.

Ten epizod szkolny nie bardzo utrwalił się w mojej pamięci. Czuliśmy, że sielanka nie potrwa długo. Z dyrektorem Galasem zwlekaliśmy z zawiadomieniem Kuratorium o rozpoczęciu nauki. W końcu, może po dwóch tygodniach, ustaliliśmy wspólny tekst o tym, że obie szkoły rozpoczęły naukę w jednym budynku, by zostawić drugi dla wojska.

Odwrotnie dostaliśmy rozkaz natychmiastowego rozwiązania szkół i informację że nie będzie szkół średnich ogólnokształcących.

W moim rozumieniu nas to nie dotyczy, jesteśmy szkołą prywatną i możemy uczyć prywatnie poza budynkiem szkolnym. Wtedy nie słyszało się o „tajnym nauczaniu”. Prosiłam wychowawczynie klas, by zajęły się taką organizacją. Już nie pamiętam, jak to zorganizowały, ja nie uczyłam. Byłam pochłonięta innymi sprawami - mężem i tym, że za-



niedbałam wysłanie listów i paczek oddanych mi przez oficerów. Pojechałam do Krakowa, przed tym przeadresowałam wszystkie powierzone mi listy, do każdego włożyłam kartkę z opisem okoliczności, w których mi je dano i z przeproszeniem za zwłokę niezależną ode mnie. W Krakowie w kilku pocztach mogłam wysłać poleczone. Zosi i Rysi powiedziałam, że odwiedziłam ciotkę Jadwigę, staruszkę emerytowaną nauczycielkę. Mieszkała w Domu Nauczycielskim przy ulicy Karmelickiej. W niedzielę znowu pojedę, by jej coś zawieść.

W niedzielę pojechałam do męża. Państwa Orszulskich dobrze znałam, byli to krewni mojej przyjaciółki, Ludki Serafińskiej, matki chrzestnej mego Andrzejka. Tomasz czekał na mnie już drugą niedzielę. Potwierdził wiadomości, które przekazała mi Julia z „Nabiału”. Powiedział, że wkrótce F-ma wyśle go w teren, przypuszczalnie do Rzeszowa. O tym zawiadomi mnie Julia. Spędziliśmy ten dzień, nie wiedząc, kiedy się znowu spotkamy. Tymczasem do Bochni przyszła wiadomość ze Starobielska. Otrzymała ją p. Skoczylasowa, żona dowódcy, mieszkaliśmy w jednym domu. Była uradowana i pocieszyła mnie, że pewnie niedługo i ja dostanę. A mnie dręczyła sprawa „paczuszek” oddanych mi przez oficerów. Wysłałam do wszystkich adresatów wiadomości, podałam trzy daty w listopadzie, kiedy będę czekać.

Wrócił z ucieczki Leon, mój brat, był na praktyce w Puławach i przez różne tarapaty dopiero teraz dotarł do Bochni. Jemu wszystko opowiedziałam, zwłaszcza, że Tomasz chciał być z nim w kontakcie.

Jeszcze w listopadzie dostałam list od Julii z „Nabiału”, że ślub Marysi odłożony, ponieważ narzeczony dostał pracę w Rzeszowie, przy kościele o. Bernardynów. Leon postanowił pojechać do Rzeszowa i szukać Tomasza. Gdyby nie znalazł, pojedzie do Dynowa, do brata.

W grudniu 1939 r. W Bochni dokonano napadu na posterunek żandarmerii niemieckiej i skradziono broń. Sprawców schwytano, powieszono na Rynku i przez szereg dni trupy wisiały dla postrachu. Równocześnie ogłoszono, że Niemcy zdziesiątkują wszystkich mężczyzn. Leon, mój brat już wcześniej wyjechał. Podobno przez wstawiennictwo pastora protestanckiego zmieniono wyrok i na rozstrzelanie zabrano 40 kilku mężczyzn karanych sądowo. Rozstrzelano ich na Uzborni, to jest w lasu na obrzeżach miasta.

Bochnia stała się miastem zamkniętym. Młodzież, była zagrożona wywiezieniem na roboty do Niemiec. Zaraz po Świętach Bożego Narodzenia z dyrektorem Galasem zaczęliśmy starania otworzenie Szkoły Handlowej, jedynej wtedy możliwości kształcenia średniego. Starania trwały kilka miesięcy, dyrektor Galas zagrożony aresztowaniem wyjechał na wieś. Gdy przyszło pozwolenie na otwarcie szkoły i przyjechał mianowany dyrektor nie znający środowiska organizację tej szkoły przeprowadziłyśmy we dwie z sekretarką Gimnazjum Męskiego p. Heleną Kwapniewską.

Pierwszego września 1940 r. rozpoczęło się nauczanie w Offentliche Handelsschule.

Szkoła była dwustopniowa:

Trzyletnia, w której umieściliśmy młodzież gimnazjalną w trzech oddziałach A, B, C klas pierwszych.

I/1117

Jednoroczna, zakończona maturą w tej w dwóch oddziałach A, B znalazła się młodzież licealna.

Razem ponad 200 uczniów znalazło naukę oficjalną, a innym umożliwiło prywatne nauczanie.

Wystąpiły trudności lokalowe.

Po trzech tygodniach usunięto nas z gmachu Gimnazjum Męskiego, dla potrzeb wojska. Przenieśliśmy się do szkoły podstawowej na popołudniowe nauczanie. Tutaj też wkrótce, dla tych samych celów, wyrzucono nas. Już w połowie października sytuacja stała się dramatyczna, groziło rozwiązanie szkoły. Aby ratować młodzież przeniosłam szkołę do naszego domu przy ulicy Gołębia 1. Mieliśmy duże mieszkanie, 3 pokoje oddałam dla szkoły. Na parterze p. Skoczylasowa odstąpiła też bezpłatnie 3 duże pokoje, w sześciu pomieszczeniach została zorganizowana szkoła. Nauka odbywała się permanentnie cały dzień. Znalazł się też kącik dla dyrektora, który dojeżdżał z Krakowa. Uczyłam korespondencji handlowej i zastępowałam dyrektora. Jak wyglądała moja praca jako polonistki ukazuje załączony list byłego ucznia, aktualnie profesora A. R. - W mojej pamięci tkwią dwa fakty: podpisanie lojalności wobec władz niemieckich i matura. W pierwszym przypadku trzeba było wybierać między poczuciem zdrady narodowej a ratowaniem młodzieży. W drugim przypadku przeżyliśmy uczucia poniżenia i pogardy.

Maturze przewodniczył Schulrat w mundurze SS i z rewolwerem położonym na biurku przykrytym zielonym suknem. Gdy wszedł do sali zaszalutował przed portretem Hitlera, usiadł zdjął czapę, położył rewolwer i nam skinął głową na znak, byśmy usiedli. Oświadczył na wstępie, że prace



z korespondencji handlowej są niedbale poprawione, nawet błędy ortograficzne nie podkreślone. Po polsku odpowiadałam, że czytałam najpierw by ocenić pod względem merytorycznym, a następnie dopiero pod względem językowym. Pan dyrektor zabrał mi przed tym drugim czytaniem, wtedy zakaszłała, czy kichnęła kol. Zofia Heinowa, przeprosiła i wyszła by powiedzieć młodzieży stojącej pod drzwiami, że Niemiec bardzo dobrze zna język polski. Tydzień trwała ta matura. W sobotę odjechał z Schulratem dyrektor, mnie zostawił zastępstwo, sam miał przewodniczyć maturze w innej szkole. Byliśmy psychicznie i nerwowo bardzo zmęczeni. Postanowiliśmy, że w niedzielę po południu pojedziemy do lasu, by wydychać tę truciznę, jaką przez tydzień wchłonęliśmy. Pamiętam, że na odtrutkę zabrałam poezje J. Kasprowicza. Tylko tyle zapamiętałam z tego spotkania.

W poniedziałek rano zostałam przez Gestapo aresztowana.

### **1.1. Trudny okres mego życia.**

21 czerwca 1941 r. o godz. 7 rano przyszedł mężczyzna i zapytał o mojego męża. Odpowiedziałam, że poszedł na wojnę i nie wrócił. Prosił, bym o godzinie 8 - mej przyszła na posterunek policji przy ulicy Różanej. Zastępuję dyrektora i dopiero jak przyjdą nauczyciele i przekażą zastępstwo, będę mogła opuścić szkołę. Mogę się spóźnić. Przyszedł prof. Haftek, jeden z poważnych nauczycieli, prosiłam go, by przejął zastępstwo, ponieważ muszę wyjść i to może potrwać dłużej.

Zaglądnęłam do mego 2 i półrocznego Andrzejka, spał. Nie pocałowałam dziecka, by go nie obudzić. Przed wejściem na posterunek wstąpiłam do mojej znajomej Wandy Pachutówny. Powiedziałam, że idę do Gestapo, poprosiłam, by obserwowała co ze mną zrobią i zawiadomiła rodzinę.

Na policji spisano moje personalia i czarną limuzyną sam komendant zawiózł mnie do Krakowa do Gestapo na ul. Pomorską. Tam przesłuchanie trwało do wieczora. Wieczorem odwieziono mnie do więzienia ma Montelupich.

9 września 1941 r. w transporcie 76 kobiet zostałam wywieziona pociągiem osobowym do Fürstenberga, a stamtąd krytymi samochodami do Ravensbrück.

Ten okres mego życia, tj. od 9 września 1941 r. do 28 kwietnia 1945 r. opisałam w następujących publikacjach:

Urszula Wińska - *My się bronimy. Pamiętniki nauczycielki. Z obozów i więzień hitlerowskich 1939-1945.* Czytelnik - Warszawa, 1962, ss. 482-563.

Urszula Wińska - *Zwyciężyły wartości. Wspomnienia z Ravensbrück.* Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1985, s. 417.

Urszula Wińska - *Więzi. Losy więźniarek z Ravensbrück.* s.195.

## **1.2. Po powrocie z obozu.**

15 maja 1945 r. wróciłam z obozu do Bochni. Tam pracowałam przed wojną, tam mnie aresztowano, tam była moja rodzina.

Przyjechałam z Krakowa w nocy, była godzina policyjna, musiałam czekać do rana. W poczekalni dworcowej było du-

zo osób. Obok mnie siedział ojciec mojej uczennicy, którego dobrze znałam. Nikt mnie nie poznał. Odszukałam moją rodzinę, mieszkali teraz w Rynku u państwa Klimków - po moim aresztowaniu wyrzucono ich z mieszkania.

Andrzejek spał jeszcze, w tym samym łóżeczku, w którym go zostawiłam, kiedy mnie aresztowano, przed czterema laty. Nie chciał uwierzyć, gdy go budzono. Podniósł głowę i powiedział, „ Pani nie jest moją mamą, pani nie jest podobna do mamy z portretu.” Chciał dowodu. Miałam na szczęście jego fotografię, którą podstępnie jako kolorową kartkę z życzeniami imieninowymi przysłano mi do obozu. Uwierzył! Rzucił mi się na szyję i powiedział: „Już mi nic nie brakuje do szczęścia.”

Ja swoją inność poznawałam przy zetknięciu ze społecznością bochnieńską.

Mimo życzliwości i serdeczności z jaką się spotykałam, miałam świadomość, że już nie wejdem w te koleiny, które przez kilkanaście lat swojej pracy tu wyłobiłam.

### **1.3. W nowym środowisku.**

Z zadowoleniem przyjąłam plan męża o przeniesieniu się na Wybrzeże.

W sierpniu 1945 roku zamieszkaliśmy w Sopocie. Postanowiłam, mimo sprzeciwu całej rodziny, zgłosić się od września do pracy. Wiedziałam, że tutaj wszystko buduje się od nowa, od podstaw, są ogromne potrzeby w szkolnictwie. Czułam też, że ja w takiej pracy wrócę do normalności życiowej.



Zgłosiłam się w kuratorium w Wydziale Szkół Zawodowych i prosiłam o zatrudnienie jako polonistka. Kiedy pokazałam dokumenty, usłyszałam, że mam za wysokie kwalifikacje do szkół zawodowych. Naczelnik p. Kieresant Wiśniewski proponował mi Studium Pedagogiczne w Oliwie. Upierałam się przy swoim. Nie tłumacząc dlaczego chcę pracować w tych szkołach.

Pracowałam kilka lat w obozie koncentracyjnym Ravensbrück w szwalni obozowej, wydawało mi się, że zrozumieć lepiej psychikę ucznia warsztatowca i będę to mogła wykorzystać w pracy pedagogicznej.

Otrzymałam pracę w Gimnazjum Krawieckim w Sopocie.

W gronie nauczycielskim, wśród nauczycielek zawodu poczułam się od razu jak w swoim środowisku.

Wkrótce zorientowałam się, że moja praca polonistki z dziewczętami tej szkoły nie będzie ani łatwa ani prosta. Młodzież była bardzo zróżnicowana językowo i kulturowo. Autochtonki, tj. gdańszczanki słabo znały język polski. Jak mi później opowiadały często nie rozumiały, co do nich mówię.

Dziewczęta kaszubskie też nie były oswojone z językiem literackim.

Wśród uczennic przesiedlonych z za Buga tylko kilka dobrze mówiło po polsku. U większości znajdowałam różne odcienie mowy kresowej.

To był dla mnie pierwszy ważny problem dydaktyczny. Różnice kulturowe same z czasem się wyrównają.

Miałam świadomość, że istnieje tu również ważny dla polonisty problem wychowawczy, a mianowicie świadomość na-

rodowa. Czyli to podłoże na którym będę mogła opierać się przy lekturze utworów literackich.

Co wiedzą o Polsce?

Gdańszczanki zetknęły się pierwszy raz z Polską w najgorszym Jej wydaniu, bo z działalnością szabrowników. Kaszubki interesowały się wyłącznie patriotyzmem lokalnym, regionalnym. Dziewczęta z za Buga wyrwane ze swoich rodzinnych, stron jeszcze nie wrosły w nową, obcą dla nich ziemię ojczystą.

Program języka polskiego, przedwojenny, był tu nie przydatny. Wprowadziłam nowy dział nauczania: ćwiczenia w mowie i pisaniu związane z tematyką zawodową. Oparłam się na podstawach psychologicznych. Mówi się i pisze o tym, co interesuje i z czym ma się osobisty kontakt. Ćwiczyłam różne formy wypowiedzi. Od klasy drugiej mogłam już realizować, w zawężonym zakresie obowiązujący program.

Sprawę świadomości narodowej oparłam na poznaniu „prawdziwej” Polski.

W trzecim roku nauczania zorganizowałam wycieczkę do Częstochowy i Krakowa. Dzisiaj nazwałabym pielgrzymką. Do tego też przygotowałyśmy się na lekcjach języka polskiego.

Trudno dzisiaj opisać reakcję dziewcząt z tamtych dni: Przyjechałyśmy do Częstochowy wczesnym rankiem. Na Jasną Górę szłyśmy pieszo. Gdy dziewczęta zbliżyły się do murów Klasztoru, jak na komendę padły na kolana. O swoich przeżyciach religijnych pisały później w wypracowaniach klasowych.

Nie było wtedy ani biur turystycznych, ani miejsc noclegowych, zresztą i my nie miałyśmy wiele pieniędzy. Pobyt w Krakowie załatwili nam moi znajomi i przyjaciele. Wiedzieli, w jakim celu tam przyjeżdżamy. Znajomy Tomasz Serafiński załatwił nam noclegi. W kilkupokojowym lokalu w Rynku, naprzeciw Sukiennic i Kościoła Mariackiego, po zlikwidowanej jakiejś instytucji, a nie zajętyj jeszcze, miałyśmy komfortowe lokum. Nie pamiętam komu zawdzięczałyśmy posiłki za symboliczną groszową opłatą. Trzydniowy pobyt w Krakowie pozwolił mi tylko na zwiedzenie zabytków historii i kultury, ale i poznanie życzliwości i gościnności polskiej. Na marginesie powiem, że po kilkunastu latach, przyjechała do mnie z Bydgoszczy, wtedy już matka dorastających synów, jedna z autochtonek, by mi powiedzieć: „To że jestem Polką, zawdzięczam pani”. Dobrze ją pamiętam ze szkoły - Trudzia Wandke. Była najbardziej skrzywdzona przez polskich szabrowników. Ojciec zginął na wojnie, jako żołnierz Wehrmachtu, matkę z trójką dzieci wyrzucono z mieszkania do komórki. Mieszkanie zajął ktoś „ważny” i nie można go było usunąć. Innym razem spotkałam po latach swoją uczennicę z tej szkoły też gdańszczankę, która na moje zapytanie, jak ułożyło się jej życie, odpowiedziała, że ma kłopoty z mężem. Składała pieniądze, by go zawieść do Częstochowy.

#### **1.4. Sukces dydaktyczny.**

W 1945 roku Ministerstwo Oświaty z inicjatywy pani wizytator Zbyszewskiej, przeprowadziło sprawdzian kon-



trolny z języka polskiego we wszystkich szkołach kra-  
wieckich.

Moja szkoła znalazła się na pierwszym miejscu.

Od tego faktu zaczęła się moja „kariera” dydaktyczna,  
jak to później nazwałam, która prowadziła przez kilku-  
letnie kierowanie Sekcją Języka Polskiego Szkół Zawodo-  
wych wojew. Gdańskiego do Katedry Metodyki Nauczania Ję-  
zyka Polskiego i Literatury w Wyższej Szkole Pedagogicz-  
nej we Wrzeszczu a następnie do kierowania Zakładem Me-  
todyki Nauczania Języka Polskiego i Literatury w Uniwer-  
sytecie Gdańskim, gdzie pracowałam do emerytury, tj. do  
roku 1972.

Była to droga wyboista, pełna zawirowań, wymagająca nie-  
kiedy trudnych decyzji.

Ukażę to, w jakimś ułamkowym zarysie, jak dokonywały się  
u nas komunistyczne reformy, które rozkładały nasze  
szkolnictwo na długie lata.

W tym samym roku, w którym był przeprowadzony sprawdzian  
z języka polskiego Centralny Urząd Szkolnictwa Zawodowe-  
go (C U S Z ) powołał Centralny i Wojewódzkie Ośrodki  
Metodyczne.

Wśród różnych sekcji zawodowych znalazła się też Sekcja  
Języka Polskiego i mnie powierzono jej kierownictwo. Nie  
było żadnych instrukcji ani określonych zadań. Trzeba  
było wszystko organizować na własną odpowiedzialność. Z  
wdzięcznością myślałam wtedy o profesorze.

Zenonie Klemensiewicz, który na Uniwersytecie Jagiel-  
lońskim przygotowywał nas do zawodu nauczycielskiego  
uczył nas dostrzegać problemy dydaktyczne i samodzielnie

je rozwiązywać. Dzięki temu mogłam pożytecznie podolać nowym obowiązkom.

Urządziłam Gabinet Metodyczny w Technikum Ekonomicznym w Sopocie, gdzie raz w miesiącu odbywały się szkolenia nauczycieli języka polskiego szkół zawodowych całego wojew. gdańskiego.

Różne były formy pracy, wspomnę tylko o jednej. Odwiedzając nauczycieli przy warsztatach pracy mogłam poznać ich potrzeby i możliwości. W znacznym procencie przesiedleni z za Bugu, w tym połowa z kwalifikacjami tylko do szkół podstawowych.

Byli to przeważnie ludzie ideowi, przedwojenni harcerze, żołnierze A.K. Mogli stracić pracę, gdy przyjdą nauczyciele z odpowiednimi kwalifikacjami.

Od roku akademickiego 1948/49 miałam zajęcia w Wyższej Szkole Pedagogicznej we Wrzeszczu.

Od dziekana Wydziału Humanistycznego prof. Sosina dowiedziałam się, że istnieje możliwość zdawania uproszczonego egzaminu na nauczyciela szkół średnich.

Przeglądałam program i stwierdziłam, że roczny kurs umożliwiłby tym nauczycielom zdobycie potrzebnych kwalifikacji. Nie było na to żadnych funduszy. Przyszli mi z pomocą pracownicy naukowcy W S P. prof. dr Kazimierz Mężyński, doc. Dr Edward Rabowicz, dr Maria Maternicka, mgr Anna Kusiba-Międzybrodzka. Podjęli się bezpłatnego prowadzenia zajęć. Te odbywały się w Gabinetzie Metodycznym w Sopocie, dwa razy w miesiącu w niedzielę. Nauczyciele też przyjeżdżali na swój koszt.

Zdało egzamin 11 osób. To uważałam wtedy za duże nasze osiągnięcie. Ale i tu nie brakło politycznej „awarii”. Warto o tym wspomnieć.

Urzędowa droga do uzyskania zezwolenia na zdawanie egzaminu była następująca: składałam wnioski do Dyrekcji Okręgowej Szkolenia Zawodowego (DOSZ), stąd z oceną polityczną wysyłano do CUSZ-u i tam zapadała ostateczna decyzja.

Jeden z uczestników kursu szedł ze swoją klasą i zdjął kapelusz przed kościołem. Ktoś doniósł o tym strażnikowi politycznemu szkół zawodowych z KW PZPR.

Ten zażądał od dyrektora Ośrodka Metodycznego p. Bielewicza zwołania konferencji wszystkich dyrektorów szkół zawodowych.

Mnie nie zawiadomiono, choć zawsze uczestniczyłam w takich zebraniach.

Pan Pyzik dowiedział się od swego dyrektora, że nie będzie dopuszczony do egzaminu. Przyjechał do mnie zrozpaczony.

Pojechałam do Warszawy, wzięłam delegację na konferencję do Biura Programowego, gdzie często jeździłam. Ale poszłam nie do Biura, ale do Wydziału Kształcenia Kadr. Tam dowiedziałam się, że dopuszczono 10, a jeden odpadł. Dlaczego zapytałam? Słaby nauczyciel i nie nadaje się, spontanicznie zareagowałam. To jeden z najlepszych nauczycieli, nie dopuszczono go, bo zdjął kapelusz przed kościołem. Urzędująca, miła pani zapytała, czy jest partyjny? Nie. To miał prawo.

Zawiadomiłam p. Pyzika, by spokojnie przygotowywał się do egzaminu. Za parę dni Kadrowy DOSZ-u zapytał mnie ja-



kim nauczycielem jest Pyzik z Technikum Mechanicznego w Tczewie i prosił, bym tę opinię dała na piśmie. Nikomu nie powiedziałam o tej historii politycznej.

Kiedy dzisiaj wspominam o tym, nasuwa się nieodparcie żal. Jakie byłyby nasze szkoły, nasi nauczyciele, wychowawcy, gdyby nie wprowadzono w 1950 r. tego demoralizującego nadzoru politycznego.

### **1.5. Indoktrynacja ideologiczna w szkołach.**

Przypadkowo znalazłam się w centrum jednego ogniwa tej rewolucji ideologicznej w szkole. W czerwcu 1950 roku otrzymałam z Ministerstwa Oświaty zawiadomienie, że jestem powołana na kierownika Wakacyjnego Kursu dla Polonistów Szkół Zawodowych. Kurs będzie w lipcu w Koszalinie. Równocześnie z tym było wezwanie na dwudniową Konferencję do Sulejówka. Tam znaleźli się też kierownicy kursów innych przedmiotów ogólnokształcących.

Zacząło się od wykładów z marksizmu, z czego wyprowadzono aktualną ideę rewolucji kulturalnej w ogóle i naszej roli w przygotowaniu do niej nauczycieli.

Podano dwa cele tych wakacyjnych kursów:

1. Prześwietlenie nauczycieli pod względem fideistycznym.
2. Kształtowanie naukowego światopoglądu.

Wśród różnych sposobów tego, prześwietlania zalecano metodę podsłuchu w sypialni, przez zaufanych członków partii, kiedy ludzie się szczerzej wypowiadają. To mną tak wstrząsnęło, że postanowiłam wyjechać, przysłać świadectwo lekarskie, by nie prowadzić kursu. Później jednak

odezwał się nawyk konspiracyjny, wyniesiony także z obozu. Pomyślałam, że w każdej sytuacji można zrobić coś dobrego. Zostałam. Dowiedziałam się, byłam bezpartyjna, że moim zastępcą będzie absolwent Łódzkiej Szkoły Partyjnej. On będzie miał całą dokumentację tj. karty ewidencyjne nauczycieli przysłane z Kuratoriów, on napisze opinie o przydatności, lub nieprzydatności nauczyciela w szkole. Moja rola ogranicza się jedynie do codziennych relacji z obserwacji nauczycieli. Te spostrzeżenia należało zapisywać, one miały stanowić podstawę do rzetelnej oceny nauczycieli. Szczegółowe instrukcje stanowiły gwarancję dobrego wykonania zleconych zadań. Przy tej ocenie nie brało się pod uwagę zajęć z literatury, choć i w tej dziedzinie już praktycznie uczono innej interpretacji utworów literackich. Nazywano ją: Realizmem socjalistycznym. Wykładowcami byli profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego.

Prelegentem nr 1 był prof. Stefan Żółkiewski. Ten swoim tubalnym głosem grzmiał, burząc całą burżuazyjną literaturę. Najwięcej uwagi poświęcił romantyzmowi. Nazywał utwory tego okresu: „chorymi wydumkami”, których klasa robotnicza nie może przyjąć. Dostało się też Mickiewiczowi i Maryli. Drwił z miłości romantycznej, ironizował żartobliwie, a czasem wulgarnie, co budziło wesołość, choć cała ta sprawa nie była do śmiechu.

Pozostali wykładowcy: prof. Zdzisław Libera, który zajmował się literaturą Oświecenia, prof. Eugeniusz Sawrymowicz - pozytywizm, prof. Jan Zygmunt Jakubowski próbował coś wydobyć z okresu Młodej Polski. Oni prowadzili zajęcia z wyważonym umiarem tej nowej interpretacji. Od-

czuwałam niepewność, czasem mglistość interpretacji i zażenowanie.

Kiedy w prywatnej rozmowie zapytałam, jak teoretycznie określić „realizm socjalistyczny”. Usłyszałam z niedwuznacznym uśmiechem: „Jak kto uważa”. To była dla mnie ważna informacja.

Innym razem prof. Jakubowski, też w ścisłym gronie powiedział „Panowie! Musimy po marksistowsku spreparować „Ogniem i mieczem”, bo na nim wychowało się wiele pokoleń Polaków”. Wydawało mi się, że zrozumiałam istotę tej polonistycznej „szarady”. Jak ją wykorzystałam opowiem w innym kontekście.

#### **1.6. Jak układała się moja praca z Zastępcą.**

Był to człowiek młody, dobrze przygotowany merytorycznie do zajęć z filozofii marksistowskiej, ideowy, a może nawet „zachłyśnięty” ideologią. W stosunku do mnie zachowywał szacunek na dystans. Współpraca układała się początkowo ściśle według instrukcji.

Wiedziałam, że jest komórka partyjna i on jest sekretarzem. Ujawniło się to wtedy, kiedy przełożył zajęcia i z całą grupą partyjną poszedł na sesję inauguracyjną nowego województwa koszalińskiego. Uczestniczyłam we wszystkich zajęciach z marksizmu i mogłam obserwować nauczycieli. Partyjni, przeważnie mężczyźni, na ćwiczeniach wypowiadali się swobodnie, mieli już opanowaną frazeologię polityczną. Sceptycyzm widoczny na niektórych twarzach ujawniał krytyczny stosunek, a nawet reakcję. W



naszych rutynowych rozmowach wieczornych, mój zastępca zwrócił na to uwagę, wymienił kilka osób, wg miejsca gdzie siedziały, wśród nich moją koleżankę z UJ. Pomyślałam, że jest spostrzegawczy. Powiedziałam jednak, że ja widzę w tym raczej refleksję niż krytycyzm. Wykłady są prowadzone jasno, przekonywająco, i jestem pewna, że osoby te inaczej zaprezentują się, choćby na ćwiczeniach. Stefanii powiedziałam o tym. Była doktorem filozofii, taki tytuł otrzymywało się wtedy na UJ nawet gdy praca doktorska była z filologii polskiej. Na najbliższych ćwiczeniach zabrała głos i nasz ideolog przyznał mi rację. Trudniej było z czterema polonistkami z Krakowa. W ich kartach ewidencyjnych z Kuratorium była dodatkowa uwaga o dokładną opinię. Nie znałam ich, a w ogóle starałam się utrzymać dystans wobec kursantów, nawet moich dwóch koleżanek z Sopotu.

Zachowanie tych czterech polonistek, siedzących przy jednym stoliku musiało zwrócić uwagę wykładowcy. Była wśród nich dr Maria Ostrowska, astmatyczka, czasem z zajęć wychodziła na swego papierosa. Wyszłam za nią i przedstawiłam jej całą sprawę tj. jaki jest cel kursu i dopisek na ich kartotekach. Wyraziłam przekonanie, że mogę jej zaufać. Zrozumiały mnie, co mogłam stwierdzić na dalszych zajęciach.

W miarę, jak uaktywniały się na ćwiczeniach osoby oceniane przez marksistę krytycznie, rosło zaufanie do mnie mojego zastępcy.

Trudny problem Kościoła w niedziele, pomogła mi załatwić koleżanka z Sopotu, mgr Halina Saska. Nie było na ten temat żadnych uwag.

Zbliżał się koniec kursu, mój zastępca zabierał się do pisania opinii. Obserwowałam, jak zмага się z trudnościami, niszczył bruliony, przepisywał na brudno kilka razy, nim wpisał do karty personalnej. Pracowaliśmy przy jednym dużym biurku. Nieśmiało zaproponowałam pomoc w stylistycznym formułowaniu opinii, będzie szybciej. Na kursie było czterdzieści osób. Przyjął to z ulgą. Najpierw wspólnie redagowaliśmy tekst, ale i to przebiegało wolno. W końcu już ja dyktowałam tekst, rzekomo na podstawie zapisanych uwag, a on wpisywał na karty.

Wszystkie opinie były pozytywne. Zdążyliśmy na czas. Zastępca zabrał całą dokumentację, nawet różne zapiski i wyjechał.

Rozstaliśmy się w zgodnej uprzejmości. On zadowolony z osiągniętych wyników, ja z osiągniętego celu. Wtedy dopiero poczułam moje nerwowe wyczerpanie i psychiczne zmęczenie. Przez cztery tygodnie żyłam w stałym napięciu i niepokoju. Ale wiele się nauczyłam. Zrozumiałam, że „parasolem ochronnym” naszej pracy polonistycznej będzie termin „realizm socjalistyczny”. Tę wiedzę i mądrość, jaką wyniosłam z tego kursu umiejętnie wykorzystywałam w pracy Kierownika Sekcji Języka Polskiego. Poloniści szkół zawodowych wojew. Gdańskiego, gdy przyszła „odwilż” 1956 roku, dziwili się, że nie musieli nic zmieniać w swojej pracy.

W latach następnych prowadziłam takie kursy w Polanicy, Zakopanem, Gdańsku. Pamiętam dobrze kurs wakacyjny w Puławach w 1954 roku. Organizowany już nie przez M.O. ale przez C.U.S.Z. Wtedy ja opracowałam program i zaprosiłam wybitnych wykładowców. Z Krakowa prof. Franciszek

Bielak z U.J. doc. Władysław Szyszkowski z W.S.P. Z Warszawy doc. Dr Tadeusz Parnowski, z Gdańska dr Maria Maternicka, która prowadziła ćwiczenia z analizy utworów literackich na przykładzie Pana Tadeusza, którego nie było w lekturze szkolnej.

W tej samej szkole był kurs dla bibliotekarzy. Kierownik kursu miał pretensje, że jego kursanci opuszczają swoje zajęcia, by uczestniczyć, głównie w ćwiczeniach dr Maternickiej.

Wszyscy mieliśmy świadomość, że przekraczamy obowiązujące wtedy granice. Prof. Bielak zabezpieczał się położonym na stole podręcznikiem szkolnym do liceum. Na wizytację z C.U.S.U. przyjechała dr Królińska. Nie mogłam jej przedstawić przed wykładem prof. Bielaka. Była na wykładzie, gdy prof. usłyszał wizytator, sięgnął po podręcznik. Tymczasem pani dr Królińska dziękowała profesorowi, że mogła wysłuchać wykładu. Przypomniało jej to wykłady prof. Juliusza Klejnera we Lwowie. „Ja objąłem katedrę w U.J. po Juliuszu” odpowiedział prof. Bielak.

Na żadnym kursie nie żegnano wykładowców tak serdecznie, owacyjnie z kwiatami, które wręczał sekretarz komórki partyjnej, jak w Puławach.

To wszystko świadczyło, że nie zatruto jeszcze ducha polonistycznego u tych nauczycieli.



### 1.7. Wyrzucona z WSP we Wrzeszczu-Gdańsku

Zaabsorbowana pracą Sekcji Języka Polskiego w Wojewódzkim Ośrodku Dydaktycznym, nie interesowałam się tym, co działo się w Uczelni.

Słyszałam, że jest nowy rektor, polonista, mgr Czarnecki. Jako pracownik kontraktowy nie brałam udziału w zebraniach.

W połowie czerwca 1952 roku ze zdumieniem przyjąłam imienne zawiadomienie o zebraniu w auli.

W zebraniu obok profesorów brali udział studenci filologii polskiej IV i V roku.

Dekoracja auli wskazywała, że będzie to ważne zebranie.

Po raz pierwszy za stołem prezydialnym obok rektora, którego pierwszy raz zobaczyłam, siedzieli dwaj zetempowcy w czerwonych krawatach. Na stole pęk chorągiewek. Obok mównica ze szturmówkami. Zdziwienie i ciekawość „co to będzie?”

W długim referacie, czytany przez rektora usłyszeliśmy o światowych, rewolucyjnych osiągnięciach nauki radzieckiej w dziedzinie językoznawstwa, pedagogiki, psychologii.

Padły nazwiska, których już nie pamiętam, a które wtedy miały być sprawdzianem naszej wiarygodności naukowej.

Następnym punktem tego wyreżyserowanego spektaklu „rewolucji naukowej” były wystąpienia studentów, też w odpowiedniej dekoracji i zetempowskiej symbolice. Z kartki odczytywali krytykę swoich wykładowców. Prof. Mężyński ośmielił się zwrócić uwagę, że stalinowska teoria językoznawcza nie jest jeszcze nauką. Usłyszał od rektora

bardzo nietaktowne upomnienie. Wobec tego całe grono z politowaniem i smutkiem przyjmowało te rewolucyjne brednie i slogany. Pamiętam z jaką przykrością słuchałam wystąpienie studentów. To byli moi studenci, dobrze ich znałam. Uczyłam ich kultury w ocenie, czy krytyce lekcji praktycznych, prowadzonych przez kolegów w szkole ćwiczeń. A teraz się tak zachowują wobec swoich wykładowców. Na koniec tego przykrego spektaklu rektor wygłosił pompatyczna przemowę o roli nauczyciela w aktualnych przemianach rewolucyjnych. Mówiąc o potrzebie bezwzględnego posłuszeństwa władzy użył następującego przykładu: Jeśli poloniście każą uczyć astronomii nie może odmówić. Tego już nie wytrzymałam. Zabrałam głos i powiedziałam, że ja przygotowuję polonistów do odpowiedzialnej pracy zawodowej. Pamiętam, że moja reakcja była emocjonalna. Może powiedziałam za dużo. Zostałam wyrzucona z uczelni. Dla pełnego obrazu podam okoliczności, w jakich dowiedziałam się o tym. Koniec września 1952 r. byłam jeszcze na wakacjach w Dynowie na południu Polski. Depeszą wezwano mnie do uczelni. Był dodatkowy egzamin na polonistykę. Byłam członkiem Komisji Egzaminacyjnej. Przyjechałam, przeprowadziłam egzamin i prywatnie od sekretarki w dziekanacie dowiedziałam się, że na moje miejsce już jest ktoś zaangażowany.

Miało to swoje reperkusje polityczne. Np. KW PZPR nie zgodził się, bym jako delegatka wybrana przez nauczycieli pojechała na konferencje sierpniową do Warszawy. Poloniści odznaczeni na sierpniowych konferencjach byli zażenowani tym, że ja nie dostaję odznaczeń. Jedna z nauczycielek dziękując za swoje odznaczenie, powiedziała

wprost to, że jesteśmy dobrymi nauczycielami zawdzięczamy p. dr Wińskiej. Dwaj inni poszli do dyrektora DOSZ-u i pytali, dlaczego ja nie dostaję odznaczenia, oni są tym zażenowani. Dyrektor powiedział, że są przeszkody. Wtedy ja zapytałam dyrektora jakie to przeszkody? Zrozumiałam, że p. Czarnecki odpowiednio mnie zareklamował.

Kiedy, może za dwa lata otrzymałam wezwanie do prokuratury rejonowej w Gdańsku, byłam przekonana, że to dalszy ciąg jakiejś zemsty rektora Czarneckiego.

Tymczasem prokurator p. Zegar poprosił mnie o wyrażenie opinii, czy opracowana przez nauczycieli pomoc z języka polskiego do matury jest zgodna z programem. Toczy się w tej sprawie proces. Otrzymałam sporych rozmiarów maszynopis i termin do wykonania pracy.

W terminie przysłałam z opinią. Zaskoczona pytaniem ile ma zapłacić, nie wiedziałam co odpowiedzieć. Pyta ile godzin pracowałam. Określiłam jakąś niewielką kwotę. Wtedy usłyszałam: „pani koledzy z WSP zażądali - podał konkretną kwotę. Jeśli pani żąda tak małej, to stawia ich pani w złej sytuacji. Podał mi przygotowany już rachunek, podpisałam. Pan prokurator Zegar wyszedł na chwilę. Wrócił z pieniędzmi i powiedział bez zażenowania: ale pani dostanie połowę. Nigdy tego nikomu nie powiedziałam. Czułam się współnikiem prokuratora w przestępstwie. Dzisiaj piszę o tym, by ukazać, jakie były czasy w PRL-u.



### **1.8. Do Uczelni wróciłam 1956/57.**

Po usunięciu ze stanowiska rektora mgr Czarneckiego wybrany rektorem prof. Andrzej Bukowski zaraz na drugi dzień zapytał mnie telefonicznie czy wrócę do uczelni. W styczniu 1957 r. Ministerstwo Oświaty powołało w WSP w Gdańsku pierwszą w Polsce Katedrę Metodyki Nauczania Języka Polskiego i Literatury. W następnych latach na WSP w Krakowie i WSP w Katowicach. Stało przede mną nowe zadanie. Musiałam zrezygnować z pracy w Ośrodku Metodycznym DOSZ-u.

### **1.9. Praca Kierownika Katedry.**

Należało zorganizować warsztat pracy naukowej i samej zdobywać wyższe kwalifikacje. Z wykształcenia jestem historykiem literatury, pracę doktorską pisałam u prof. Ignacego Chrzanowskiego na UJ. W tamtej sytuacji daleka byłam od spraw literackich.

Hospitując polonistów województwa gdańskiego dobrze poznałam stan opanowania języka ojczystego i jego poprawności u uczniów szkół zawodowych. Wiedziałam, że przyczyny tych niedostatków należy szukać u podstaw nauczania tj. w szkołach podstawowych. Ustaliłam temat własnej pracy badawczej:

### 1.10. Błędy językowe i stylistyczne uczniów szkół podstawowych województwa gdańskiego.

Zebrany materiał z kilkudziesięciu szkół w klasach 5-7 był podstawą mojej pracy badawczej. Wnioski jakie nasuwały się dla pracy nad poprawnością językową stały się tematami prac magisterskich na seminarium z nauczycielami studiów wieczorowych i zaocznych.

Kilkadziesiąt prac magisterskich o charakterze eksperymentalnym opartym o własny warsztat ukazały nie tylko metody przydatne tu, ale wskazywały na przyczyny tych niedostatków językowych. Pamiętam, jak jedna z nauczycielek plastycznie określiła tę przyczynę. „Kiedy pracujemy z czytanką z podręcznika, dzieci mają szklane oczy, ożywiają się jak czytamy Świerszczyka” (kl. 6).

Nie było wątpliwości, przyczyną błędów językowych i stylistycznych uczniów szkół podstawowych województwa gdańskiego były podręczniki szkolne. Badania wykazały, że 50-90 % wyrazów z czytanek uczniowie nie rozumieją.

W kuratorium w Gdańsku, na konferencji inspektorów szkolnych przedstawiłam stan językowy uczniów. Powiedziałam, że szkoła „tumani dzieci”. Przyznano mi rację. Ale my nie mamy na to żadnego wpływu dopowiedziano.

W tym czasie na zajęcia z literatury młodzieżowej przyjeżdżał z Warszawy doc. dr Tadeusz Parnowski. Był dyrektorem Wydawnictw Szkolnych. Poważnie zainteresował się sprawą. Zamierzał włączyć do tej pracy swoich doktorantów w Warszawie, by opracować podręczniki do języka polskiego, dla środowisk z tymi trudnościami. Na to potrzebna była zgoda Ministerstwa Oświaty. Ówczesny mini-

ster prof. Henryk Jabłoński nie zgodził się, gdyż to według niego, łamało socjalistyczną ideę równości obywatelskiej. Słuszne zabiegi dydaktyczne musiały ustąpić dla komunistycznej ideologii.

Na emeryturę poszłam w 1972 roku jako kierownik Zakładu Metodyki Nauczania Języka Polskiego i Literatury Uniwersytetu Gdańskiego. Mam świadomość, że przedstawiony tu życiorys odbiega od przyjętych schematów. Ale ponieważ przez losy człowieka przeplata się historia, trudno mi było ominąć wydarzenia wplecione w moje życie, a znamienne dla epoki.

## **2. Działalność społeczna.**

Swoją pracę społeczną wiąże ze wstąpieniem do I Drużyny Skautowej (tak wtedy nazywano harcerzy) w Przemyśle. Prowadziłam zastęp w Dynowie.

Rok 1916-1920. Dynów, moje rodzinne miasto (10 tyś.) zamieszkiwali Polacy, Żydzi, Rusini, miał tylko siedmioklasową szkołę powszechną.

Po jej ukończeniu uczyłam się prywatnie i zdawałam egzaminy w Przemyśle u s. Benedyktynek na Zasaniu. Tam poznałam druhnę Marię Mudrykównę, drużynową. Otrzymałam od niej wskazówki i instrukcje i jej przesyłałam sprawozdania. Pamiętam jedno wskazanie: Nie afiszujcie się. Z tego dzisiaj wnioskuję, że była to tajna drużyna. Druhna była zaskoczona moją znajomością wszystkich pieśni patriotycznych. Do pieśni harcerskich otrzymałam nuty.



Kiedy to dzisiaj wspominam, rozumiem, że te pieśni zastępowały naukę historii i kształtowały w nas patriotyzm.

Nauczyciel, p. Kazimierz Kwolek długo objaśniał treść tekstu pieśni nim nauczał melodii.

Przemyśl był twierdzą i na początku wojny był oblegany przez Moskali (tak nazywano Rosjan) a bronili się w nim Prusacy, Austriacy i Węgrzy.

Jeździliśmy do Przemyśla furmanką, zabierając ze sobą żywność, również dla sióstr. Choć Moskale nie zdobyli miasta -twiedzy, był tam głód.

11 listopada 1918 roku wystąpiłyśmy pierwszy raz jako grupa zorganizowana (16 dziewcząt). Tyle liczył nasz zastęp.

Na rynku, koło pomnika króla Władysława Jagiełły zgromadzili się ludzie. Była straż pożarna z orkiestrą, Gwardia Narodowa, urzędnicy, księża i Gminy Żydowskie (Kahał). My harcerki w czterech czwórkach stanęłyśmy obok Gwardii Narodowej. Żołnierze austriaccy składali karabiny przed oficerem Wojska Polskiego.

Kapitan, ze stojącej obok pomnika mównicy odczytał głośno akt, z którego dwa wyrazy: Polska i wolna Polska niepodległa wywołały oklaski i spontaniczne odśpiewanie hymnu Jeszcze Polska nie zginęła. Później z mównicy, proboszcz ks. Szalustowicz zapowiedział wieczorem nabożeństwo dziękczynne. Uformował się pochód i my czwórkami za Gwardią też maszerowałyśmy, przy dźwiękach Orkiestry Strażackiej. Tu należy się wyjaśnienie o Gwardii Narodowej, gdyż była to organizacja tylko w Dynowie, miała swoje korzenie w średniowieczu i przetrwała do drugiej

wojny światowej. Niemcy kazali oddać szable i tak wykończyli organizację, której powstanie sięgało późnego średniowiecza i miało historyczne uzasadnienie.

Dynów leżący nad Sanem, był w przeszłości grodem obronnym. Do dzisiaj zachowały się ślady tego w nazewnictwie np. Zamczysko, Podwale.

Mieszczanie dynowscy w średniowieczu dzielnie obronili miasto przed Tatarami. Król Władysław Jagiełło, gdy był w Dynowie, obdarzył mieszczan przywilejami. Było to coś w rodzaju nobilitacji. Mieli prawo nosić karabele i pas stucky na czarnych długich do kolan czamarach, a na głowach kołpaki z futra białego baranka z trzema płaskimi kokardkami.

Dowódca, wachmistrz, nosił kontusz z niebieskimi, albo czerwonymi wyłogami, zależnie od okoliczności. Przywilej ten był prawem dziedzicznym, przechodził z ojca na syna. Pamiętam pogrzeb mego dziadka, Walentego Wyszatyckiego, na jego trumnie była szable i kołpak, zostały pogrzebane razem z nim, ponieważ nie miał następcy.

Gwardia nigdy nie brała udziału w uroczystościach państwowych, w czasie zaboru austriackiego, tylko w uroczystościach kościelnych, np. Procesja Bożego Ciała, straż przy grobie Chrystusa, towarzyszyli też księdzu przy święceniu pokarmów wielkanocnych. W Dynowie od lat był zwyczaj, że ksiądz święcił pokarmy wielkanocne w kilku domach mieszczan, do nich przynosili swoje sąsiedzi. My, dzieci oczekiwaliśmy na ten moment, gdy gwardziści, dwaj, wyciągnęli szable i z podniesionymi do góry stali obok księdza, gdy on dokonywał ceremonii święcenia.

I/1141

Wspominam o tym, według tradycji, zwyczaj ten powstał wtedy, gdy zaistniała Gwardia.

### **2.1. Rok 1920. Wojna z Ukraińcami o Lwów**

Już na początku wojny 1914 roku wyruszyła z Dynowa do Legionów Drużyna Strzelecka. Było tam kilka dziewcząt pełniących funkcję sanitariuszek, między nimi Aleksandra Kasprowiczówna, moja przyszła bratowa. Na wiadomość, że trzeba bronić Lwowa, zgłosiło się dużo ochotników, także ze wsi: Harta i Bachórz. Warunkiem przyjęcia było posiadanie mocnych butów i ciepłego swetra. Tylko część ochotników mogła spełnić ten warunek. Większość została w domu. Z dwoma harcerkami: Stefanią Wolańską i Marią Wojtanowicz poszłyśmy do burmistrza miasta z propozycją zorganizowania zbiórki pieniędzy na zaopatrzenie ochotników w buty i swetry. Ten odesłał nas do proboszcza Ks. Szełustowicza.

Dzisiaj rozumiem, wtedy w pojęciu obywateli wszystkie sprawy patriotyczne należały do kościoła. Ksiądz Proboszcz pochwalił naszą inicjatywę i doradził, byśmy tą akcją objęły okoliczne dwory: Nozdrzec, Dąbrówka i Bachórz. Przygotowałyśmy cztery listy osób znanych i wybitniejszych. Na jednej byli Żydzi, bogaci, handlujący zbożem i lasami.

Tylko jedna osoba odmówiła. Był to sędzia, nie wiedziałyśmy, że był Rusinem. Z moją kuzynką, Stefanią Wolańską poszłyśmy, do Dąbrówki, do hrabiny Starzeńskiej, 3 kilometry i przeprawa przez San. Znałyśmy hrabinę Starzeńską



z kościoła. Przyjeżdżała powozem z dwoma synami i miała swoją ławkę kolatorską, nikt nie miał prawa usiąść w niej.

Był to dla nas świat, który znałyśmy trochę z literatury. Z ciekawością i nadzieją na potężny datek weszliśmy w mury wysoko ogradzające zamek. Po długim czekaniu lokaj w liberii wprowadził nas do hrabiny.

Powiedziałam, że jesteśmy harcerkami z Dynowa i przedstawiłam cel naszej wizyty. Usłyszałam wtedy: „Macie legitymację”? Nie miałyśmy. Pokazałam listę osób, które nam zawierzyły i wpłaciły datek. Był podpis Księdza Proboszcza, aptekarza. Usłyszałam na to, że ona nie zna ich podpisów i mogą być fałszowane, nie ma też żadnej pieczętki i to musi być oszustwo. Nie dam żadnych pieniędzy, powiedziała wyniośle. Wyszliśmy prawie z płaczem, że nas harcerki potraktowano jak oszustki.

Przewoźnik nie wziął od nas zapłaty, a o hrabinie powiedział: „Ona jest z Niemców”. Zbiórka przyniosła tyle, że prawie wszyscy ochotnicy mogli pojechać, by walczyć o Lwów.

Upłynęło od tamtych dni osiem lat. Uczyłam w Ropczycach. Jechałam do rodziców na wakacje. Do Dynowa z Przeworska jechało się kolejką wąskotorową „ciuchcią”. Dynów był ostatnią stacją. W pociągu usłyszałam o strasznej tragedii. Młodszy hr. Starzeński utonął wraz z żoną w Sanie koło zamku. Niedawno się ożenił, po ślubie przyjechali do Dąbrówki. Hrabina nie była na ślubie podobno chorowała. Ktoś powiedział, że to choroba udawana, bo hrabina była przeciwna temu małżeństwu, choć to była szlachcianka, ale biedna. Starszy syn ożenił się z bogatą Niemką.

Na drugi dzień po utonięciu przyjechali rodzice panny młodej i w kaplicy zamkowej zobaczyli dwie trumny, a w nich małżeństwo w ślubnych strojach. Ze współczuciem mówiono o młodym małżeństwie i rodzicach, ani słowa o hrabinie Starzeńskiej. Mnie przypomniało się wtedy to spotkanie, kiedy hr. Starzeńska potraktowała nas, harcerki jak oszustki.

Kiedy jestem przy wątku harcerskim, wspomnę o innym, miłym dla mnie spotkaniu.

Rok 1949. Miałam kontraktowe zajęcia na WSP we Wrzeszczu. Dziekanem na Wydziale Geografii była prof. Maria Krynicka. Byli tam ludzie z różnych stron Polski. W czasie jednej rozmowy z p. Dziekan Krynicką zapytałam, czy znała może w Przemyśle drużynową Marię Mudrykównę. „Bardzo dobrze ją znałam”. A co z nią? „Stoi przed panią”. Było to dla nas obu bardzo miłe spotkanie.

Rok 1924/25. Przeniosłam się z Uniwersytetu Jana Kazimierza w Lwowie na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Prof. Juliusz Kleiner wyjeżdżał do Paryża na rok, dokończyć 3-ci tom monografii o Słowackim. Pozostali profesorowie: prof. Bruchnalski, i prof. Wojciechowski, prowadzili zajęcia z epok literackich, które mnie nie interesowały. Prof. Bruchnalski ze średniowiecza, prof. Wojciechowski miał tylko wykłady, nie prowadził seminarium. Po dynamicznym, choć ze śladami wojennymi Lwowie, Kraków wydał mi się ospały jak Wisła płynąca koło Wawelu. Takie było moje wrażenie.

Życie akademickie było tu bogatsze, lepiej zorganizowane i propagowane. Były partie polityczne, koła naukowe, różne stowarzyszenia.

Dzięki kol. Mieczysławie Miterzance, Maryli Chrzanowskiej znalazłam się w Chrześcijańskim Związku Akademickim - ChZA.

Skupiał chrześcijan wszystkich kościołów: katolików, prawosławnych, protestantów. Dzisiaj nazwałabym to stowarzyszeniem ekumeniczno -formacyjnym. Podstawą pracy było szczególnie czytanie i interpretowanie przez członków różnych kościołów Pisma Świętego, wyprowadzanie wskazań dla życia osobistego i społecznego.

Było to stowarzyszenie o charakterze międzynarodowym. Sekretariat Naczelny był w Szwajcarii. W Polsce istniało na Uniwersytecie Jagiellońskim, Warszawskim i Wileńskim. Muszę się przyznać, że dyskusje te przerastały moją wiedzę religijną i znajomość Pisma Świętego. Znałam Pismo Święte jedynie z czytań w kościele. Wtedy jeszcze w naszym kościele pokutował duch reformacji i obawa przed wypaczeniami w rozumieniu tego Źródła naszej wiary.

Chcę tu wspomnieć o jednym wydarzeniu, kiedy ja okazałam się przydatna.

Sekretarz Generalny, zapowiedział swój przyjazd do Polski. Chciałby wygłosić na Uniwersytecie we Lwowie trzy odczyty, których teksty przysłał. Okazało się, że nikt w naszym gronie nie zna Lwowa. Zgłosiłam swoją gotowość, choć opuściłam uczelnie, ale utrzymywałam koleżeńskie kontakty.

Otrzymałam adres Ks. Ciemniejskiego we Lwowie, gdybym potrzebowała pomocy. Telefonicznie zawiadomiłam kol. Bastgen, w którym hotelu jest miejsce sekretarza. Tam zostawiłam wiadomość o spotkaniu w holu gmachu uniwersyteckiego, na godzinę przed odczytem.



Spotkałam się też z ks. Ciemniowskim, by go zawiadomić o odczycie. Okazało się, że znał Sekretarza, a ja go nie znałam.

Za słabo miałam opanowany język francuski, bym mogła tłumaczyć głosy w dyskusji. Pomógł mi w tym prof. Czerny, kierownik Katedry Romanistyki. Jego asystentka miała być tłumaczką. Otrzymała tekst odczytu i godzinę przed odczytem miałyśmy się spotkać w holu Uniwersytetu w nowym gmachu.

Z p. Hanriotem Sekretarzem przyszedliśmy na umówione miejsce, asystentki nie było. Woźny dał mi tekst odczytu i list. W liście informacja że, po zapoznaniu się z referatem, nie weźmie udziału w tej akcji, jest to działalność masońska, albo komunistyczna. Zdjęto afisze w starym gmachu, studenci nie wezmą udziału. Radziła odwołać następne odczyty, gdyż studenci przeszkodzą. Sekretarzowi powiedziałam tylko, że ta pani nie może przyjść na odczyt. Miałam jeszcze na tyle przytomności, że poprosiłam woźnego o otwarcie nie auli, ale małej sali.

Nadszedł ksiądz Ciemniowski. Nie wiedziałam, że panowie się znali! Podałam księdzu list i po polsku prosiłam, by ratował sytuację.

W sali niedużej była gromada studentów-polonistów i więcej jeszcze duchownych różnych kościołów.

Ksiądz Ciemniowski przedstawił Sekretarza, powiedział coś o Jego misji. ( Używam słowa Sekretarz, ponieważ nie jestem pewna pisowni jego nazwiska.)

Po odczycie była dyskusja w języku francuskim, więc nie potrzebna była tłumaczka. Głos zabierali duchowni. Nic nie pamiętam z tego, czekałam w napięciu, co powie

ksiądz Ciemniowski. Podziękował w języku francuskim Sekretarzowi, a po polsku odwołał, ku rozczarowaniu duchownych, następane dwa odczyty z przyczyny nie zależnej od nas. Pan Sekretarz musi pojechać do Warszawy.

Sekretarzowi ksiądz Ciemniowski przeczytał list i obronił studentów.

To miasto kresowe, są jeszcze ślady wojny, dla nich słowo międzynarodowy znaczy tyle co komunistyczny. Panowie odjechali razem, ja zostałam z koleżankami i kolegami. Dowiedziałam się, co działo się w gmachu na ulicy Mikołaja, gdzie mieścił się cały Wydział Humanistyczny.

Zostałam na drugi dzień, by podziękować księdzu Ciemniowskiemu za pomoc.

Sekretarz pojechał do Warszawy i Wilna, jak miał w planie.

Wśród naszego duchowieństwa, chociażby w Krakowie, nie było jednolitej oceny ChZA.

Koleżanka Zofia Bastgen była przewodniczącą Sodalicji Mariańskiej Studentek UJ, Ksiądz Moderator postawił jej warunek, by wybrała Sodalicję czy ChZA. Nie można według niego łączyć personalnie tych dwóch organizacji. Zofia udała się do Arcybiskupa Krakowskiego Księcia Adama Sapiechy, któremu przedstawiła założenia i cele ChZA Arcybiskup powiedział, że może należeć i pracować w obu organizacjach.

Rok 1978. Ksiądz ( nie pamiętam już nazwiska ) pisząc o ekumenizmie znalazł w Bibliotece Jagiellońskiej kilka czasopism ChZA. Nawiązał kontakt z koleżanką Mieczysławą Mitera- Dobrowolską, znalazł jej artykuł w

czasopiśmie ChZA, a przez nią ze mną. Już tylko my zostałyśmy z całej naszej grupy.

Ksiądz doktorant bardzo wysoko ocenił to nowe źródło wiadomości. Zapamiętałam takie zdanie: „ To spontaniczne naturalne korzenie współczesnej działalności ekumenicznej”.

Rok 1927-1928. Prywatne Seminarium Nauczycielskie w Ropczycach, gdzie podjęłam swoją pierwszą pracę nauczycielską było, szkołą rozwojową, bez tradycji, nawet bez określonego planu wychowawczego. Trzeba było wszystko zaczynać od podstaw. Miałam jedynie przygotowanie w pracy harcerskiej. Od tego zaczynałam. W ciągu trzyletniej pracy w tej szkole powstała dobrze przygotowana drużyna harcerska, Towarzystwo Przyjaciół Harcerzy. Dzięki pomocy Towarzystwa zorganizowałyśmy letni obóz w Żdarach, na zlocie Chorągwi Krakowskiej. Drużyna ropczycka uzyskała, wysoką, może nawet pierwszą lokatę. Zapomniałam o swoich osobistych obowiązkach, o doktoracie. A brakowało niewiele. Miałam ukończoną i przyjętą pracę doktorską, zdany egzamin z filozofii. Zostało tylko rygorozum z języka i literatury. Przykro mi było, że zawiodłam prof. Ignacego Chrzanowskiego.

## **2.2. Bochnia 1930-1939 rok.**

Seminarium nauczycielskie w Bochni, gdzie zaczęłam pracować w 1930 r. należało do najlepiej zorganizowanych szkół tego typu w Kuratorium Krakowskim. Oprócz języka polskiego uczyłam metodyki nauczania wszystkich przed-



miotów w szkole podstawowej. Szkoła imienia Kingi, była naszą szkołą ćwiczeń, a na V roku wprowadziłam, drogą eksperymentu, dwutygodniową praktykę na wsi.

Wspominam o tym, ponieważ moja praca społeczna w Bochni wynikała właśnie z tych zajęć.

W Bochni istniał Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. Na czele Krajowej Organizacji stała p. Mościcka, żona Prezydenta RP. Mój kontakt z ZPOK zaczął się od prelekcji, o którą mnie proszono, następnie zaproponowano mi członkostwo. Dowiedziałam się, że Związek ma możliwość uzyskania z Kuratorium 2 nauczycielek zawodu do prowadzenia na wsi kursów gotowania i kroju i szycia. Nie korzystano z tego, ponieważ nie miał kto zorganizować na wsi tej pracy.

Wstąpiłam do Związku i zajęłam się organizowaniem tych kursów. W Żegocinie, gdzie uczennice odbywały dwutygodniową praktykę, były dobre warunki lokalowe. Kierownik szkoły zgodził się na współpracę. Na każdym kursie miał 10 godzin Wychowania Obywatelskiego, obejmującego prawa i obowiązki obywatelskie.

Kiedy dzisiaj wspominam o tym, widzę jak precyzyjnie akcja ta była przemyślana szczególnie od strony politycznej.

Na kursie mogło być od 20-25 uczestniczek.

Nazwiska i adresy kursantek zaopatrzone pieczęcią starosty powiatowego zawoziłam osobiście do Kuratorium. Tam otrzymywałam instrukcje, choć to była moja praca społeczna, o moich obowiązkach, dotyczących otwarcia kursu, jednorazowej hospitacji i uroczystego zakończenia w obecności władzy państwowej. Sprawozdania z tych prac

składałam w starostwie. Przesyłano je do Warszawy, ponieważ na Zjeździe Przewodniczących Powiatowych Oddziałów ZPOK przewodnicząca p. Mościcka wymieniała Bochnię (1937 r.).

Pamiętam zakończenie pierwszego kursu, na którym byli: starosta, ksiądz, wójt gminy i kilku gospodarzy. Jeden z nich dziękował, że pod koniec swego życia będzie mógł jeść smaczne potrawy. W domu jest wszystko, tylko kobiety nie umiały tego wykorzystać. Teraz siedzimy jak przy dworskim stole i to zrobiły nasze dziewczęta.

Ostatni kurs zakończył się wystawą w Bochni w Radzie Powiatowej. Były wytwory kulinarne, degustacja. Uczestniczyłam tylko jako gość, więc nie pamiętam dokładnie.

Świetlica Rodziny Wojskowej dla dzieci, które nie uczęszczały do szkoły wskutek ubóstwa. Od 1936 roku byłam przewodniczącą Rodziny Wojskowej. Było to Stowarzyszenie żon oficerów i podoficerów o charakterze towarzyskim. Jedynie w święta narodowe i państwowe organizowano tak zwane „Akademie” z odpowiednim programem, na które przychodzili też mężowie, w Kasynie Oficerskim.

Przez przypadek Rodzina Wojskowa w Bochni stała się pożyteczną organizacją społeczną. A miało to też związek z moją pracą dydaktyczną. Dyrektor Szkoły Ćwiczeń p. Władysław Wojtowicz (zginął w Oświęcimiu) narzekał, że do jego szkoły, przed rokiem przydzielono dzieci z baraków, odległych od szkoły o 2 km. Mimo upomnień dzieci te nie przychodziły do szkoły. Odwoziłam kogoś z rodziny na dworzec kolejowy, z daleka za torami były baraki, podejchałam, by dowiedzieć się dlaczego dzieci nie chodzą do szkoły.

To co zobaczyłam i usłyszałam wstrząsnęło mną. Nędza jakiej nigdy nie widziałam. Kobiety, aby pokazać, w jakich „warunkach mieszkają” wprowadziły mnie do baraku. Trzy-piętrowe prycze, jakie później poznałam w obozie, wzdłuż ścian. Śpią tu rodzice, dzieci, prostytutki, objaśniały kobiety.

W kącie baraku zobaczyłam mężczyznę na słomie łańcuchem przywiązanego. Cofnęłam się odruchowo. Kobiety powiedziały: „On jest teraz spokojny, musi być przywiązany, bo jak go napadnie, to może pozabijać.

Na najbliższym zebraniu Rodziny Wojskowej opowiedziałam o tym. Zaskoczyła mnie reakcja kobiet. Zaczęła się dyskusja, nad tym, jak przyjść z pomocą tym dzieciom. Powstał konkretny projekt, by zorganizować świetlicę dla nich w koszarach. Wybrano delegację, która miała rozmawiać z dowódcą pułkownikiem Skoczyłsem. Gdy o tym opowiedziałam dyrektorowi Wojtowiczowi z tajemniczym uśmiechem powiedział: „Będzie lokal na świetlicę tutaj w szkole”. Wyjaśnił, że z końcem roku szkolnego wyprowadza się do swego domu i trzypokojowe mieszkanie w szkole można przeznaczyć na świetlicę.

Tak zaczęła się ta pożyteczna praca społeczna Rodziny Wojskowej.

Muszę zaznaczyć, że mój udział w pracach przygotowawczych, organizacyjnych i gospodarczych był znikomy.

Na wakacje zawsze wyjeżdżałam ze swoją rodziną na południe Polski, do mego rodzinnego domu w Dynowie. Kiedy w sierpniu wróciłam świetlica była już zorganizowana. Było to dzieło dyrektora i kilku bardzo zaradnych żon podoficerów. Nawet pomyślały o odzieży dla 18 dzieci. Szukano



kucharki i świetliczarki. Skąd były pieniądze na to wszystko? O ile sobie przypominam, panie Skoczyłowska, żona dowódcy, Siewińska, żona zastępcy dowódcy i Koralewska żona porucznika, która była świetną brydżystką, zajmowały się sprawami finansowymi.

Należ wspomnieć, że 5-ty Dywizjon Taborów w Bochni był, jak to określono „Akademią” w tej dziedzinie wojskowej. Obok kadry oficerów miejscowych, wykładowców, prawie permanentnie odbywały się kilkumiesięczne kursy szkoleniowe dla oficerów różnych broni i dla oficerów rezerwy. Wśród tych ostatnich przeważali ziemianie. Życie towarzyskie skupiało się w kasynie oficerskim, głównie przy stolikach brydżowych. Jeden czy dwa dni w tygodniu wszystkie wygrane składano do przygotowanej puszeki, zamkniętej z napisem na Świetlicę Rodziny Wojskowej, dla biednych dzieci. Właśnie wspomniana już pani Koralewska pilnowała tego.

Przy kasie, gdzie wypłacano pobory, była też podobna skarbonka na datki dla świetlicy.

Trzecim źródłem dochodów była subwencja Zarządu Głównego Rodzin Wojskowych w Warszawie.

Mój udział w tej pracy był pośredni- uczennice piątego i czwartego roku Seminarium, które już zetknęły się z naukami pedagogicznymi, pełniły w godzinach popołudniowych dyżury - korepetycje. Każda przez określony czas pomagała w nauce jednemu dziecku. Prowadziły dzienniczek, a uwagi o dzieciach odczytywały na zajęciach pozalekcyjnych. Były oceniane i miały wpływ na stopień z metodyki. Pamiętam wydarzenie, które świadczyło, jak kobiety były uwrażliwione na los opuszczonych dzieci. Jedna z naszych

członkiń przyprowadziła do świetlicy dziewczynkę, okazała się sierotą, u obcych ludzi pasła krowy, nie chodziła do szkoły. Wykapała ją. Spaliła odzież. Mieszkałam blisko, choć nie było mnie w domu, z moją gospodynią wybrały potrzebne rzeczy dla dziewczynki. Prosiła dyrektora, by przyjął ją do szkoły, choć była z innej dzielnicy i zabrała ją do swojego domu.

Mnie osobiście cieszyło jeszcze inne osiągnięcie. Od początku, kiedy znalazłam się w Rodzinie Wojskowej przykry był dystans, jaki istniał między żonami oficerów i podoficerów. Raziło mnie tytułowanie żon oficerów stopniami ich mężów, np. pani pułkownikowa, majorowa. Nie wiedziałam jak to zmienić, by nie urazić nikogo.

Współpraca w organizowaniu i prowadzeniu świetlicy w sposób naturalny wyeliminowała ten dystans. Już nie mówiło się pani pułkownikowa, a pani Maria, czy Helena zarówno między żonami podoficerów, jak oficerów. Świetlica działała od września 1937 do czerwca 1939 roku.

### **2.3. Praca konspiracyjna w Tajnej Organizacji Wojskowej Z.W.Z. później A.K. od marca 1940 roku do czerwca 1941 roku.**

Dom mój był miejscem kontaktów i punktem przekazywania materiałów konspiracyjnych.

W marcu 1940 roku pan Józef Steczowicz, znany mi jako, przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego w naszej szkole i jego córka Maria ( pseudonim „ Zofia” ) skontaktowali mnie z oficerem Sztabu Okręgu Krakowskiego T O W mgr.

Czesławem Hakke ps. „Stefan” oficerem do spraw dywersji.

Ja miałam nawiązać kontakt z zawodowymi podoficerami Wojska Polskiego, z piątego Dywizjonu Taborów w Bochni, którzy, jako cywile, przebywali w Bochni.

Znałam dobrze sierżanta Jaskółę, który był służbowo związany z moim mężem, przychodził do nas i tresował naszego psa, rasy Seter podpalany. Kontaktowałam się tylko z Jaskółą, a on z dwoma sierżantami, którzy też wrócili do Bochni. Osobiście tylko raz uczestniczyłam w dywersji, jako osłona Jaskóły. Z dzieckiem w wózku towarzyszyłam Jaskóle kilka kilometrów szosą w kierunku Tarnowa. Na szosie rozciągnięty był kabel i jego zwoje. Jaskóła, który pochodził z Poznańskiego, znał dobrze język niemiecki, dowiedział się, że w dniu następnym kabel będzie zakopany, chciał go uszkodzić.

Późnym popołudniem pojechałam z moim dwu letnim synkiem na szosę, tam już zastałam Jaskółę. Choć w dość dużych odległościach stali żołnierze, udało się Jaskóle w kilku miejscach uszkodzić kabel, ale musieliśmy przejechać około trzech kilometrów.

Jaskóła wziął ode mnie fiolki z bakteriami, planował dotrzeć do koszar, tam kilka kobiet obierało kartofle, myślał, że przez nie uda się wrzucić do kotła te bakterie. Niestety kobiety nie miały tam dostępu. Byłam w towarzyskiej przyjaźni z Wandą Pachutówną. Ojciec miał fabrykę obuwia przy ulicy Różanej blisko budynku, w którym było Gestapo. Oficerowie niemieccy zamawiali tam obuwie dla żon. Czasem musieli czekać na wykończenie i wtedy Wanda podawała kawę lub herbatę. Wzięła fiolki i podała zawar-



tość we flaczkach zapiekanych z parmezanem. Miałam do niej zaufanie.

Poza tym moja praca ograniczała się do przekazywania materiałów dostarczanych przez Jaskółę do Krakowa przez łączniczkę, a Jaskółę przywiezionych z Krakowa.

Ostatni raz przyjechała łączniczka ZWZ przed Wielkanocą 1941 roku. Była to matematyczka z Państwowego Gimnazjum Żeńskiego w Krakowie, znałam ją, ponieważ już była u nas. Poprosiłam do pokoju, a sama w kuchni przygotowałam herbatę. Wtedy zapukała i weszła młoda dziewczyna. Obie kobiety mogły się zobaczyć, drzwi do pokoju były otwarte. Dziewczyna przekazała mi paczkę dla Janka z Chodonic. Kazałam jej położyć na kredensie, ponieważ sama nalewałam herbatę. Dziewczyna wyszła, a ja z herbatą poszłam do pokoju. Moja łączniczka zapytała, kim jest ta dziewczyna. Ja jej nie znam, przyniosła pewnie książkę dla kolegi. Ona jechała za mną z Krakowa, powiedziała łączniczka, popatrzyła na zegarek i oświadczyła, pojedzie drugim pociągiem. Przesyłkę, którą oddała mi łączniczka z dopiskiem „pilne” musiałam rano doręczyć Jaskółę. Od ósmej miałam lekcje, zresztą nigdy do Jaskóły nie chodziłam, nawet nie wiedziałam dokładnie, gdzie mieszka. Ten problem stał się w danej chwili najważniejszy i na nim się skupiałam. Sama nie mogłam pójść do Jaskóły, a ponadto miałam od rana lekcje. W pobliżu mieszkała z dwojgiem dzieci pani Szeferowa, żona rotmistrza, który tragicznie zginął w pierwszym dniu wojny. Chłopiec poszedł do Jaskóły z wiadomością, że pies zachorował. Przed ósmą Jaskółę był u mnie. Wspominam o tym, ponieważ w tych okolicznościach zapomniałam o dziewczynie. Po

Wielkanocy przyszła starsza córka pana Steczowicza pie-  
szo z Krakowa, w obawie że mogą ją śledzić. Zawiadomiła  
mnie o aresztowaniu ojca, Masi („Zosi”) i brata, który  
był leśniczym w Muszynie. Zapewniała, że nikt mnie nie  
„wsypie”, że kontakt z Krakowem będzie zawieszony i na-  
leży zniszczyć materiały.

#### **2.4. Moje aresztowanie.**

21 czerwca 1941 roku przed godzina ósmą przyszedł  
obcy człowiek i pytał o mojego męża. Na wiadomość, że  
nie wrócił z wojny prosił, bym o ósmej przyszła na po-  
licje przy ul. Różanej. Wiedziałam że to Gestapo. Zastę-  
powałam dyrektora i mogłam wyjść dopiero, gdy przekażę  
zastępstwo nauczycielowi. Mogę się spóźnić. Przyszedł  
prof. Haftek, jego poprosiłam, by mnie zastąpił, mogę  
dłużej być nieobecna.

Nim weszłam do Gestapo, wstąpiłam do Wandy Pachutówny,  
prosiłam, by obserwowała, co będzie ze mną i zawiadomiła  
moja rodzinę.

Na Gestapo spisano moje personalia i zaprowadzono do sa-  
mochodu, który stał przed budynkiem. Siedział w nim męż-  
czyzna, który nie zareagował na moje pozdrowienie. Gdy  
przyszedł komendant, poznałam w nim oficera, który w  
dniu wczorajszym przechodził ulicą Gołębią i obserwował  
nasz dom. Byłam z dzieckiem na balkonie. Zapytałam, czy  
wrócimy samochodem, gdyż ja nie jestem ubrana tak, by  
jechać pociągiem. Nie otrzymałam odpowiedzi, tylko za-  
gadkowy uśmiech pojawił się na jego twarzy. Zobaczyłam

swoją twarz w lusterku umieszczonym przed siedzeniem komendanta. Domyśliłam się, że będzie nas obserwował. Mężczyzna siedział wtulony ze spuszczoną głową, ja przybrałam postać pasażerki, która spogląda przez okno i podziwia piękno czerwcowej przyrody.

W Krakowie, gdy weszliśmy do budynku Gestapo przy ulicy Pomorskiej, ten poprawny dotychczas komendant zmienił się w krzyczącego gestapowca. Zostawił nas pod opieką stojącego wartownika, a sam poszedł. Po chwili dwaj gestapowcy zajęli się nami. Krzycząc kazali nam iść za sobą długimi korytarzami. Jeden otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka, słyszałam zamknięcie drzwi.

Znalazłam się w dużej sali, kilka stołów ustawionych na środku, jak na zebraniu. Usiadłam na krześle stojącym osobno, blisko okna. Minęła jedna godzina, potem druga, była cisza. Rozmyślałam nad tym, co się stało, że mimo zapewnienia „wsypano” mi. Wtem przeraźliwy krzyk rozdarł tę ciszę. Jakby za ścianą bito kogoś. Zobaczyłam w drugim końcu sali drzwi. To stamtąd dochodził przeraźliwy krzyk. Może to mężczyzna, który jechał ze mną? Kiedy wysiedliśmy z samochodu poznałam go, był farmaceutą w aptece pani Szymanowiczowej w Rynku.

Mieszały się krzyk oprawcy i jęk ofiary. Jak długo to trwało, trudno mi powiedzieć, wydawało się, że bez końca. Byłam słaba, zmęczona, zdawało się, że jestem odrętwiała ale wewnątrz spokojna. Nawet nie pomyślałam, że mnie może spotkać to samo.

Oprzytomniałam, gdy przyszedł gestapowiec z maszyną do pisania. Postawił maszynę na stole w pobliżu mnie i zaczął spisywać moje personalia, pytał o wykształcenie,



rodzinę. Gdy to skończył, poprosiłam o tłumacza. Był zdziwiony, że mam wyższe wykształcenie i nie znam języka niemieckiego. Powiedziałam, że czytam, ale nie mówię. Wyszedł i wrócił z młodym cywilnym mężczyzną. Pierwsze pytanie-kto do mnie przyjechał, podał datę. Muszę sobie przypomnieć, to było dawno, jeszcze przed Świątami Wielkanocnymi. Chwilkę się zastanowiłam i powiedziałam: koleżanka. Na to tłumacz zareagował zdziwieniem-koleżanka? Momentalnie, błyskawicznie zrozumiałam, że nie chodzi o moją łączniczkę, ale o dziewczynę, która przyniosła paczkę dla Janka z Chodenic. Powtórzyłam: Koleżanka przysłała dziewczynę. W jakiej sprawie, zapytał szybko? W sprawie buraków potrzebnych na barszcz świąteczny. A co przywiozła? Dla mnie nic, odpowiedziałam. Wtedy gestapowiec podał w centymetrach rozmiar paczki. Tak, zgadza się powiedziałam. A co w niej było? Zajaczki marcepanowe, zwyczajny prezent Wielkanocny. Pytania padały szybko. 25 egzemplarzy „Polska Żyje” i 25 egzemplarzy „Polska Niepodległa”? Na to roześmiałam i powiedziałam, musiałyby to przywieźć samochodem. Polska Niepodległa to dwutomowe dzieło. Kto odebrał? Chłopiec z Chodenic. Jak się nazywa? Nie pamiętam nazwiska, ale imię „Janek”. Czy znam go? Z widzenia może, Chodenice są przedmieściem Bochni, a to miasto małe, więc ludzie się znają. Czy poznałabym go? Tak! Wyciągnął z maszyny pismo i kazał podpisać. Tłumacz spojrział na mnie życzliwie. To był protokół z przesłuchania, śledztwo dopiero miało się zacząć.

Dwaj gestapowcy przychodzili kolejno, obaj uzbrojeni w bykowce. Obu chodziło o człowieka, który wziął przesyłkę. Stosowali podobne metody, obaj wywijali bykowcem, ale żaden mnie nie uderzył. Trzymałam się ściśle tego, co było w protokóle. Byłam potwornie zmęczona.

Tutaj należy wyjaśnić jaki był mój związek z tą sprawą.

Jak już wspomniałam w innym miejscu, dyrektor Marchut nie zajmował się naborem młodzieży do szkoły, pozostawił to mnie i pani Helenie Kwapniewskiej. Ja przyjmowałam młodzież gimnazjalną do trzyletniej szkoły, pani Kwapniewska młodzież licealną do jednorocznej.

Do tych klas zgłaszali się studenci uniwersytetu zagrożeni wywiezieniem na roboty. Nie mogli złożyć świadectwa. Pani Kwapniewska wpisywała, że wskutek działań wojennych zaginęły a ona potwierdza, że byli uczniami. Brała to na swoją odpowiedzialność i ja zostawiałam jej decyzje w tej sprawie.

#### **2.5. Mój nieświadomy udział w pracy konspiracyjnej uczniów.**

Dwie klasy jednoroczne były liczne, przeważali uczniowie. Program korespondencji był obszerny, nie miałam możliwości, ani nie widziałam potrzeby, aby prowadzić dodatkowe zajęcia - konspiracyjne.

Moje pierwsze nieporozumienie z tą młodzieżą wystąpiło, gdy prosili mnie o zwolnienie z lekcji. Chcieli iść na pogrzeb kolegi z liceum Włodzimierza Podgórcza. Powie-

działałam, że mogę zwolnić po jednym uczniu z klas jako delegatów.

Wiedziałam że pogrzeb będzie manifestacją mieszkańców Bochni. Podgórzec był aresztowany przed paru miesiącami za posiadanie broni. Na śledztwie przyznał się, że ma broń ukrytą w kopalni soli. Znał dobrze kopalnię, tam pracował jego ojciec. Powiedział, że wskaże to miejsce. Planował poprowadzić strzegącego go Niemca w poblizze nieczynnego już szybu i tam wtracić go. Stało się odwrotnie, gdy ten się zorientował i Włodek zginął śmiercią tragiczną. Na moją odpowiedź usłyszałam, że nie rozumiem ich, nie wczuwam się w ich przeżycia. W końcu oświadczyli, że pójdą. Wtedy powiedziałam, że dyrektor wyciągnie konsekwencje.

Nie wiem dlaczego nie powiedziałam wtedy całej prawdy, że pogrzeb będzie filmowany i tłumny udział uczniów może mieć konsekwencje dla szkoły. Stosunki moje z tymi uczniami były „ex katedra”. To hamowało moją szczerość. Wybrali delegację, ale dawali mi odczuć na lekcjach swój niechętny stosunek.

Drugi raz moje spotkanie z tą młodzieżą miało już inny charakter. Wraciałam do domu wieczorem. Zauważyłam na podwórku grupę młodzieży rozprawiającą. Podeszłam i zapytałam o czym tak spiskują? Zaskoczeni odpowiedzieli: o tym jak wynieść książki z biblioteki szkolnej. Wojsko opuściło gmach, została tylko „wachta”.

To mnie przeraziło, ale spokojnie powiedziałam, że książki cenne są ukryte poza szkołą. Jak sobie wyobrażają dojdzie do biblioteki, gdy budynek jest strzeżony? To byłby napad, a w konsekwencji zamknięcie szkoły i wywie-



zienie was wszystkich na roboty do Niemiec. Powiedziałam o tym, jaką cenę my, nauczyciele zapłaciliśmy, by utrzymać szkołę. Dla nas podpisanie lojalności wobec Niemców było zdradą narodową. Mieliśmy do wyboru podpisanie, albo likwidację szkoły.

Z wielkim bólem wybraliśmy podpisanie, by was chronić przed wywiezieniem na roboty, byście mogli spokojnie uczyć się. Powiedziałam też, że rozumiem ich chęć jakiegoś działania. Ale tu trzeba wielkiej rozwagi, nie wystarczy zapał.

Odtąd zmienił się ich stosunek do mnie.

Trzecim wydarzeniem, które już miało niebezpieczny charakter, były gazetki znalezione pod ławką przez woźnego. Woźny ze szkoły im. Kingi sprzątał i palił w piecach węglem przynoszonym z tamtej szkoły. Był opłacany przez Kuratorium. Nie miałam do niego zaufania. Ponieważ w kancelarii wiele dokumentów leżało na regałach, w czasie jego sprzątania pracowałam tam. O ile dobrze sobie przypominam było to przed Bożym Narodzeniem 1940 roku. Wszedł do kancelarii z garścią gazetek i podając mi powiedział: Co znalazłem pod ławką!

Co to jest? „Nie wie Pani, gazetki”. Proszę to wrzucić do pieca i nigdy nikomu nie powiedzieć, że pan miał je w ręce. Nikt nie uwierzy, że pan ich nie czytał. Nawet nie zapytałam w której ławce je znalazł.

Gdy Ryncarz zszedł na dół, by tam sprzątać poszłam do klasy. Za chwile wpadł zdyszany uczeń i zaglądnął pod ławkę.

Powiedziałam: Już spalone! Chłopiec zbladł i stał przerażony. Na moje pytanie, kto kolportuje w szkole te ga-

zetki, milczał. Czy wie, jakie mogą być konsekwencje? Powiedział, że to się nigdy nie powtórzy. Żał mi było chłopca. Był poważny i solidny. Nie chciałam być prokuratorem, wyszłam z klasy. Po lekcjach uczeń z Chodenic, o którym wiedziałam, że pani Kwapniewska przyjęła go na „lewo” poprosił mnie o prywatną rozmowę. Przeszłam z nim z kancelarii do mego mieszkania.

Powiedział krótko: Ja przyniosłem te gazetki. Nim ja coś powiedziałam, on ciągnął dalej. Przyszedłem do szkoły, nie tylko dlatego, że groziło mi wywiezienie na roboty, ale też, by nawiązać kontakt ze wsią. Wiedziałem, że uczniowie dojeżdżają rowerami ze wsi. Zaczął mnie przekonywać jak bardzo wieś potrzebuje wiadomości. A mówił nie jak uczeń do nauczyciela, ale jak konspirator do kolegi. Przyszedł, że nigdy do szkoły nie przyniesie gazetki. Następnym razem „Janek”, taki miał pseudonim, przyszedł do mojego mieszkania bez wcześniejszego porozumienia. Bez żadnych wyjaśnień powiedział, że mają wielki kłopot. Pojutrze przyjeżdża z Warszawy instruktor na szkolenie, a nie mają miejsca na to spotkanie. Zbierali się u kolegi. Ale kiedy do tego budynku wprowadził się wolksdeutsch, nie mogą z tego korzystać. Zapytałam w czym ja mogę tu pomóc? Przecież w szkole nie możecie się zebrać. W szkole nie, ale w tym pokoju, w którym prof. Janik ma lekcje łaciny z grupą dziewcząt.

Prof. Janik uczył w szkole handlowej języka niemieckiego, a dwa razy w tygodniu przechodził z kancelarii do mego pokoju. Dziewczęta wśród których była moja siostra, córka dyrektora Galasa i cztery inne, przechodziły z korytarza przez łazienkę do tego pokoju.

Był dobrze zorientowany - dodał jeszcze, że wezmą dziennik lekcyjny, że niby odbywa się lekcja. Miał wszystko przemyślane. Zapytałam ilu was jest? Odpowiedział tylko, że się zmieszczą. Zebranie miało by się odbyć pojutrze o godzinie 10-tej. Nie mogłam odmówić. Gosposię z dzieckiem wysłałam do Kolanowa, po mleko. Zamknęłam kuchnię i sama poszłam na zajęcia. Kiedy wróciłam po 13-tej, nie zastałam nikogo. Tylko niedopałki papierosów świadczyły, że wykorzystali pokój. Na ten temat już nie mówiliśmy, nawet nie dziękował. W całej tej sprawie zachowywał się nie jak uczeń wobec nauczycielki, ale jak konspirator do konspiratora.

Ostatnie wydarzenie w tych sprawach uczniowskich miało miejsce tuż przed Wielkanocą 1941 roku.

Do mnie przyjechała łączniczka ZWZ-AK z Krakowa. Już była dwa razy, więc wiedziałam o niej, że uczyła przed wojną w Państwowym gimnazjum Żeńskim w Krakowie. Odebrałam przesyłkę i poszłam do kuchni, by zrobić herbatę, drzwi do pokoju były otwarte. Zapukała do kuchni i weszła młoda dziewczyna, wzięłam ją za uczennicę. Powiedziała, że przyniosła paczkę dla Janka z Chodenic. Miałam zajęte ręce i kazałam położyć na kredensie, zrobiła to i wyszła. Zauważyłam, że była blondynką i miała krótkie włosy. Kiedy przyszłam z herbatą do pokoju moja łączniczka zapytała, kto to był. To pewnie uczennica, ponieważ przyniosła paczkę dla kolegi. Ona jechała ze mną pociągiem z Krakowa. Popatrzyła na zegarek i powiedziała: Pojadę następnym pociągiem. Po Wielkanocy przyszła pieszo z Krakowa córka pana Steczowicza z wiadomością o aresztowaniu ojca, „Zosi” i brata, który był nad-



leśniczym w Muszynie. Mnie nic nie grozi, mogę być spokojna. Tylko należy zniszczyć materiały i kontakt będzie przerwany. Byłam spokojna, nie myślałam o tym, tym bardziej, że byłam zaabsorbowana zbliżającą się maturą, na którą jak powiedział dyrektor, przyjedzie Schulrat.

## **2.6. Więzienie na Montelupich - od 21 czerwca, do 7 września 1941 roku.**

Po przesłuchaniu na Gestapo, byłam wyczerpana i prawie nieprzytomna. Nie wiem jak mnie przywieziono do więzienia na Montelupich i jak znalazłam się w celi. Zapamiętałam tylko kobiety stojące z miskami po zupełną ciemność.

Mnie komendantka dała łyżkę i nocnik, powiedziała, że nie ma miski, a to naczynie jest czyste. Widziałam jak kilka kobiet wylewało do kibla więziennego tę zupełną ciemność. Ja ją zjadłam z nocnika z wyszczerbioną łyżką. Usłyszałam od komendantki, że nie ma dla mnie łóżka, ani siennika, muszę spać z kimś na sienniku. Zaraz podeszła do mnie jedna z więźniarek i zaprosiła na swój siennik. Była w brązowym płaszczu z bobrowym kołnierzem i miała kasztanowe włosy. Położyłam się na wskazany siennik w ubraniu, bo nic prócz grzebienia i szczotki do zębów nie miałam. Natychmiast położyła się ta gościnnie osoba i przytulwszy się szeptem zapytała, czy nie słyszałam, że złapali Jerzyka Karwata. Nie słyszałam, ale z Krakowa dotarła do Bochni wiadomość, że uczeń gimnazjalny zastrzelił dwóch gestapowców, gdy przyszli go aresztować i uciekł. Był za

nim list gończy. Może coś mówiła jeszcze do mnie, ale ja już nie słyszałam.

Nie mogłam przypuszczać wtedy, że ta pierwsza noc na jednym sienniku więziennym połączy nas przyjaźnią nie tylko w obozie, ale i po powrocie do końca życia Pauli. Byłam zdziwiona, gdy na drugi dzień strażniczka podała mi paczkę z bielizną i przyborami toaletowymi. To Wanda Pachutówna, po zawiadomieniu mojej rodziny zabrała te rzeczy i pojechała za mną do Krakowa. Już miałam w celi swoje łóżko i to obok komendantki, gdy w nocy przyprowadzono nową więźniarkę. W świetle lampy poznałam znajomą twarz. Tak! To była łączniczka ZWZ (Związek Walki Zbrojnej, później AK).

Pomyślałam, teraz rozpocznie się moja sprawa. Rano, gdy i ona mnie poznała, usłyszałam od niej szeptem, że nigdy nie była w Bochni. A za chwilę, już w innym miejscu - „jestem zakładniczką za męża”.

W tym dniu Polski Czerwony Krzyż przywiózł paczki dla więźniów. Zdziwionym więźniarkom „Ziuta” ps. gdy otrzymała puszkę Owomaltyny powiedziała, to moja siostra pracuje w PCK i dała mi w ten sposób znak, że wiedzą o moim aresztowaniu. Mnie powiedziała, „otrzymałam gryps z instrukcją, co mogę powiedzieć na śledztwie”. Poczęstowała nas Owomaltyną, by na drugi dzień, gdy więźniowie przyjdą po opakowania, aby nie zaśmiecać celi, oddała puszkę na dowód, że otrzymała przesyłkę. Mnie powiedziała, że swoim grypsem uspokoi naszych.

Dzisiaj-28 marca 2000 roku-skończyłam 98 lat wspominał o tym, by usprawiedliwić moją niesprawność w for-

mowaniu relacji. Są one utrwalone tak plastycznie w mojej pamięci, że snują się jak film.

### **2.7. Tragizm matki i syna - Pauli i Jerzyka.**

Paulę zabrano na Pomorską do Gestapo. Wróciła wkrótce, załamana. Powiedziała głośno: Jerzyka złapali. Upadła na swój siennik i milczała. W celi było cicho aż do wieczornej zupy. Maria Tomczykówna, tak nazywała się komendantka, podała jej miskę i ustawiła w kolejce. Po kolacji, już spokojnie opowiedziała nam. Wprowadzili ją w Gestapo do biura. Między dwoma gestapowcami siedział jasny blondyn w ciemnych okularach. Zapytano, czy to jest jej syn. Odpowiedziała z przekonaniem, to nie jest mój syn. Nie poznała go, tak był zmieniony, włosy utlenione i te okulary. Jerzyk na głos matki poderwał się z krzesła i rzucił się jej na szyję, mówiąc: Mamo to ja. Uspakajając ją, że wojna się szybko skończy i będą wolni. Zaskoczeni gestapowcy nie odrywali syna od matki. Osiągnęli swój cel. Ta konfrontacja była im potrzebna, ponieważ Jerzyk podał inne nazwisko i nie przyznawał się. Na widok matki nie wytrzymał i tak stali oboje w objęciach. Jerzyk zapytał tylko, czy ojciec żyje. Ojciec już był rozstrzelany w Oświęcimiu.

Może upłynęły dwa tygodnie od tego wydarzenia, gdy w nocy usłyszałyśmy krzyk esesmanów, szczekanie psów. Zaświeciły się latarnie na dziedzińcu więzienia. Nasza cela znajdowała się na parterze. Okna, zamalowane białą farbą lakierową, miały wydrapane szczeliny, przez które



można było coś zobaczyć. Kobiety rzuciły się do okien i szeptem informowały. Słysząc było otwieranie bramy i wszystko ucichło. Jasne było, że ktoś uciekł i esesmani z psami pobiegli za więźniem.

Dziwne było zachowanie Pauli. Nie podniosła głowy ze swego siennika, a nawet wydawało się, że głębiej się w niego wtuliła. Złapali nieszczęśnika, rzucili pod słup latarni i zaczęła się zemsta. Słyszałyśmy tylko krzyki oprawców. Zaledwie ucichły wrzaski i zgasły lampy na dziedzińcu a my wróciłyśmy na swoje posłania, wpadł do celi komendant i przeraźliwie krzyknął : Karwat. Paula wstała i dopiero wtedy zobaczyłyśmy, że była ubrana i wyszła za komendantem w swoim brązowym płaszczu z bobrowym kołnierzem.

Byłyśmy przerażone, ktoś powiedział, że pewnie ich rozstrzelają. Wszystkie uklęknęły i głośno modliłyśmy się. Zapaliło się światło i weszła Paula. Nie zapomnę tego widoku. Mater dolorosa - matka boleściwa! Powiedziała, że zaprowadzono ją do Jerzyka, przyniesiono z pralni wiadro ciepłej wody i zostawili ich. Jerzyk ze zwichniętą nogą, cały pokaleczony, obmyła go i swoją bluzkę i koszulę podarła na bandaże. Ale Jerzyk bez piżamy leży na brudnym kocu. Ofiarowałyśmy wszystko, co mogło być przydatne. Paula miała nadzieję, że wezwą ją jeszcze do Jerzyka. Stałyśmy wokół niej, gdy wszedł komendant i już spokojnie, ludzkim głosem, kazał Pauli zabrać swoje rzeczy, bo pójdzie do celi ze swoim synem. Paula złożyła ręce, jak do modlitwy i dziękowała komendantowi. Zabrała przygotowane rzeczy i już bez słowa wyszła za komendan-

tem. Nie mogliśmy zdobyć żadnych o niej wiadomości, oprócz tej, że jest w ciemnicy ze synem.

Tymczasem do naszej celi wróciła Janina Śliwińska młoda nauczycielka z Krakowa. Przed kilkoma miesiącami zniknęła w tajemniczy sposób - pojechała na przesłuchanie i słuch o niej zaginął. Wróciła z więzienia w Tarnowie, dokąd ją zawieziono dla konfrontacji. Była tam kilka miesięcy. Opowiadała koleżankom o okrucieństwach tarnowskiego Gestapo. Mnie zainteresowała sprawa uczennicy z Krakowa. Usłyszałam, że była dwa razy na przesłuchaniu choć miała ślady pobicia, była dumna, że nic nie powiedziała. Za trzecim razem przynieśli ją w kocu. Dziewczyna była zrozpaczona, że nie wytrzymała i wszystko powiedziała, a mogła powiedzieć, że zostawiła w kościele, bo przechodziła obok kościoła. Powiedziała nawet, w centymetrach jakiej wielkości była paczka. Te dwa fakty: przechodziła obok kościoła i dokładnie określenie w centymetrach paczki, o co mnie pytano w śledztwie upewniły mię, że to ona przed Wielkanocą przyniosła paczkę dla „Janka” z Chodenic.

Zapytałam Śliwińską, w jakim wieku była ta więźniarka? Usłyszałam, że to uczennica, blondynka z krótko uciętymi włosami, że chodziła do szkoły. Pomyślałam, że mogła to być tylko szkoła handlowa, innych średnich nie było. A więc istniała jakaś konspiracyjna praca międzyszkolna. Dziewczyna w nocy dostała gorączkę i rano na noszach zabrali ją do szpitala, nie mogłam zdobyć o niej wiadomości.

W duchu dziękowałam Opatrzności, że to mnie „wsypała”. Gdyby „Janek” znalazł się w mojej sytuacji, mogliby

dojść do organizacji. Wtedy los młodzieży z Bocheńskiej Szkoły Handlowej mógłby przybrać tragiczne konsekwencje. A mnie nie bili, wyszłam obronna ręką. Nie wiedziałam, że Niemcy prasę podziemną traktowali jak broń. Dopiero w obozie poznałam to, gdy kilka dziewcząt z transportu lubelskiego rozstrzelano za kolportaż „gazetek”.

Jednego razu, Maryla Tomczykówna, z którą byłam już zaprzyjaźniona, powiedziała mi, że jutro pojedzie na przesłuchanie. Będzie to jej ostatnie przesłuchanie i albo ją zwolnią, by móc śledzić, albo przyniosą w kocu jak tę nieszczęsną w tarnowskim więzieniu. Maryla miała już kilkakrotne przesłuchania. Ostatnie w gabinecie komendanta. Ale to miało inny charakter. Maryla była kobietą bardzo inteligentną i atrakcyjną. Nawet w więzieniu dbała o swój wygląd. Gdy szła na przesłuchania nie zaniedbała dyskretnego makijażu. Twierdziła, że to ochroniło ją przed biciem-onieśmielała oprawców.

Ciekawe było „przesłuchanie” w gabinecie komendanta. Rozmowa, prawie towarzyska, przy kawie, usłyszała propozycję- „że może zrobić karierę w służbie dyplomatycznej”, Maryla biegle mówiła po niemiecku. Teraz na to ostatnie przesłuchanie, które określiła jako decydujące, szła z niepokojem. Wróciła z wiadomością, że jutro wychodzi na wolność. Wzięła adres do Bochni i odwiedziła moją rodzinę, o czym dowiedziałam się po powrocie z obozu.

Kiedy jestem przy tych wspomnieniach - dokończę historię z Marylą.

Rok 1943. Już byłam dwa lata w obozie. Odszukała mnie Maria Bortnowska przywieziona z więzienia w Berli-



nie na Aleksander Plac. Przekazała mi pozdrowienia i wiadomości od Maryli. Jest w więzieniu na Aleksander Place z wyrokiem śmierci. Złapali ją i jej przyjaciółkę Urszulę w pociągu w drodze do Berlina z materiałem. Teraz czeka sto dni na uprawomocnienie wyroku, jest przekonana, że go nie zdołają wykonać. Berlin był już bombardowany.

Maria Bortnowska z podziwem mówiła o postawie Maryli, o jej pomocy koleżankom w celi, które nie mają wyroku śmierci, były załamane.

Po powrocie z obozu 15 maja 1945 roku - za parę lat w 1953 roku napisałam wspomnienia o Maryli i prosiłam koleżankę prof. Mieczysławę Dobrowolską, z WSP w Katowicach, by go odczytała na jakimś zebraniu nauczycieli, ponieważ Maryla uczyła w Katowicach w szkole. Dowiedziałam się, że po odczytaniu wspomnień ktoś z końca sali zawołał: Maryla żyje. Ponieważ prof. Dobrowolską otoczyli nauczyciele, nie mogła się dowiedzieć, kto to powiedział.

Dopiero w 1999 roku uzyskałam wiadomość o Maryli.

Otrzymałam bardzo cenną książkę, wydaną przez Fundację Archiwum Pomorskie Armii Krajowej pt. Elżbieta Zawadzka i Z.O.O. Dowiedziałam się z tej książki w bardzo skrótowym ujęciu życiorysu i działalności dawnej kurierki, Rządu RP w Londynie, która jako jedyna kobieta cicho-ciemna wróciła do kraju, by dalej działać w walce podziemnej z okupantem, że Pani Prof. Elżbieta Zawadzka przed wojną była działaczką PWK. na Śląsku. Znam panią Zawacką i mam jej adres, napisałam do niej i między innymi zapytałam, czy znała Marię Tomczykównę. Dowiedzia-

łam się, że w Fundacji jestteczka Maryli i z niej te wiadomości, których szukałam. Wyrok nie został wykonany. Więźniarki przewieziono do innego więzienia. Tam uwolnili je Amerykanie. Wyjechała do Anglii, wyszła za męża, ale już nie żyje.

Posłałam do Jejteczki moje wspomnienia i tak pożegnałam-tę dzielną przyjaciółkę z więzienia na Montelupich. Teraz należy wspomnieniem wrócić do więzienia. Po Maryli ja zostałam komendantką, ale krótko.

7-go września 1941 roku. Wczesnym ranem wezwano mnie i jeszcze dwie więźniarki. W dużej sali, do której nas wprowadzono było już dużo kobiet. Kazano nam oddać ubrania do dezynfekcji i w bieliźnie leżałyśmy na gołych siennikach. Już chwilę leżałyśmy, gdy otworzyły się drzwi i w nich stanęła Paula. Osiwiała i tak blada, wydawało się, że jest przeźroczysta. Zaskłaniała oczy, po ciemnicy raziło ją światło. Podeszłam do niej i za rękę przyprowadziłam ją na swój siennik. Pierwsze słowa, które od niej usłyszałam: „komendant dał mi słowo honoru, że Jerzyk nie będzie rozstrzelany, nie ma 16-tu lat, zostanie wysłany do obozu dla resocjalizacji”.

Po południu oddali nam nasze ubrania i późnym wieczorem zapędzili do krytych samochodów. Nie wiedziałyśmy dokąd nas zawiozą. W polu, daleko od dworca kolejowego stał pociąg osobowy i do niego nas wtłoczyli. W każdym wagonie dwóch strażników. Nie wolno było wyglądać przez okno. Był Poznań, potem Berlin i Fürstenberg. Tam już odebrały nas kobiety w czarnych pelerynach z psami, bykowcami i bronią. Wrzeszczały głośniej niż gestapowcy, kiedy z pociągu przeładowywano nas do krytych samocho-

dów. Jechałyśmy stłoczone. A było nas 76 jak później dowiedziałyśmy się. Nie widziałyśmy, kiedy zamknęła się za nami brama obozu. Dla wielu na cztery lata.

Znalazłyśmy się w innej, nieznannej dotąd nawet z literatury, rzeczywistości, wrogiej i nieludzkiej.

O tym już w pozycjach publikowanych i wymienionych tu.

### Przypisy wyjaśniające

1. Rotmistrz Szefer, o którym por. Wnęk 5 września mówił, że się „zawieruszył” 3 września zastrzelił się. Nie wytrzymał nerwowo tego, co się działo.
2. Wszyscy oficerowie 5-go Dywizjonu z Bochemi zginęli w Katyniu. Ocalał jedynie rotmistrz Tomasz Wiński, który jak powiedział por. Wnęk, poszedł zameldować się do walki w lasach Janowskich. 7 września 1939 roku dostał się do niewoli niemieckiej. 22 września uciekł z niewoli. Przebywał w Generalnej Guberni. Jako „Radwan” był dowódca A.K. na rzeszowszczyźnie.
3. Dopiero w roku 1982 dowiedziałam się, że 20 września 1939 roku sowieci zamknęli granicę na moście nad Bugiem w Łucku.
4. Batuszke z Poddębca i ukrywającego się tam pułkownika Armii Carskiej uważam za ludzi Opatrzności. Uratowali nas, tj. Rodzinę Wojskową od wywiezienia na Sybir.

Urszula Wińska

Sopot, 26 kwietnia 2000 roku.



I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora:  
- Zasadnicze z. 197/46 Bochwie, dn. 9.3.1945.  
(na odroczce: fragment wspomnień Urszuli Głuskiej  
Msp/urp. Kserokopia, k. 1, s. 1-2.



20213 5/2/1

Bochnia, dnia 9.3.1946

L. 197/46

Z a ś w i a d c z e n i e .  
-----

Powiatowa Komisja Oświaty i Kultury w Bochni zaświadcza, że ob. dr. Wińska Urszula jako kierowniczka Prywatnego Gimnazjum Zeńskiego w Bochni zajęła się z chwilą wybuchu wojny t.j. dnia 1.9.1939 zabezpieczeniem majątku tegoż Zakładu, który w znacznej części zdołała uratować, przechowując go przez czas wojny w prywatnym swoim mieszkaniu. Następnie w październiku razem z kierownikami innych szkół bocheńskich zabiegała o zezwolenie na otwarcie gimnazju. Kiedy jednak władze niemieckie odwołały zezwolenie, dr. Wińska zajęła się organizowaniem tajnego nauczania i nauczaniem, co trwało do czasu jej aresztowania t.j. do 22 czerwca 1941 r.

W czerwcu 1940 r. starała się dr. Wińska wraz z innymi obywatelami miasta u władz niemieckich o otwarcie szkoły handlowej, co zostało uwiecznione pomyślnym skutkiem. Jako nauczycielka tejże szkoły nie zaprzestała pracy w tajnym nauczaniu a w czasie lekcji szkolnych budziła ducha patriotyzmu wśród młodzieży, której ponadto pożyczala książki, spełniając w ten sposób należycie obowiązki polskiego nauczyciela i wychowawcy.

*P. Galas*  
/Piotr Galas/

dyrektor Państw. Lic. i Gimn.  
w Bochni



Przew. Komisji Weryf.

*Emil Jezyk*  
/Emil Jezyk/  
em. dyrektor Państw. Lic. i Gimn.  
w Bochni



ZWZ

11/2/2

do 19 marca 1940 r. byłem członkiem  
 Tajnej Organizacji Wojskowej, podlegającej wódcy  
 Komendzie Głównej ZWZ.  
 Łącznikiem między mną a członkiem Sztabu  
 dywizyjnego Krakowskiego Tow. oficerem do  
 spraw dywersji mgr Czesławem Głackim,  
 ps. "Stefan" była między innymi, Maria Ste-  
 nowiczka "Zofia" - na nieregularnym kontakcie z obro-  
 ną, szeregami i autami W.P. -  
 Ten dom był miejscem kontaktów, oraz punktem  
 przekazywania różnego rodzaju materiałów w pracy  
 konspiracyjnej.

Uwaga. Aresztowany byłem 29 czerwca 1941 r. w Bochum  
 za sprawy porządane w młodości (kwaterant w  
 tajnym mieście)

Fragment listu - prof. dr. hab. Antoniego Śimulskiego -  
 Wrocław 8 lipca 1990 r.

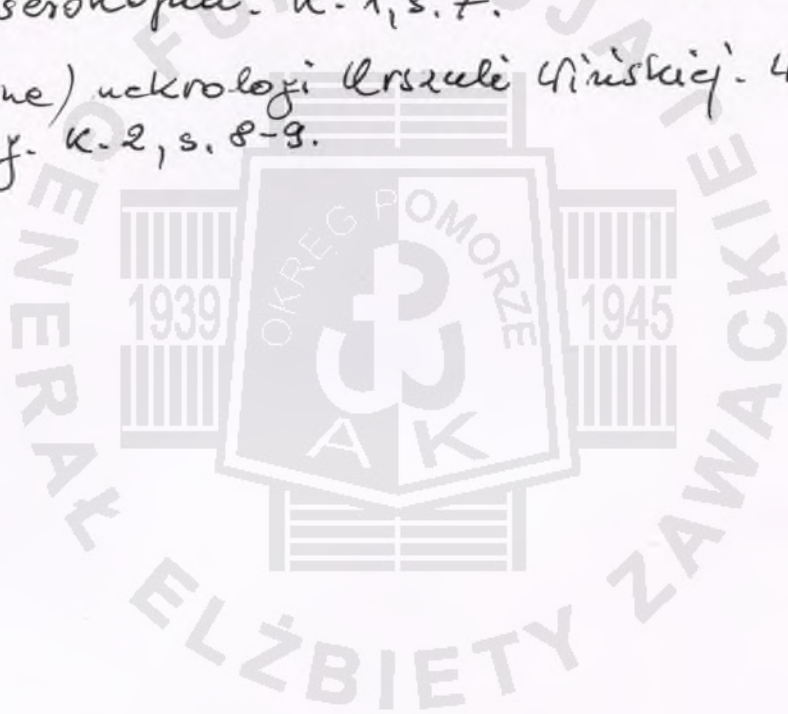
W. Pani Doc. dr. hab. Urszula Kłuska,  
 Wyższa Szkoła Pedagogiczna Górnicy

" Czy pamięta Pani z Bochum żełmo, że bracia lekarze, też sąsiedzi  
 korespondencji kwaterantowej - w Offentliche Heuolelschule?  
 Porównuje się po latach z lekarzami porządkowymi przez prof. Stettina, w Kde  
 rykowie, gdzie w latach Bochum studiował, jak Tygler recytował Koberger  
 " Nam strach nie kasano - - - "  
 A Pani miała w roku otwarte korespondencje, czytania meau.  
 Siadaliśmy w ławce, posłuchaliśmy innych młodych Polaków, w tym  
 roku wojny i studium. Studium Pani głośnego czytania po  
 polsku o tym, jak rosła przyciężka między kontinentalnymi a lokalnymi  
 przystępny kraj. Obrazowe przedstawienie Kossak - Szczyński, robita  
 rozważań, białych myślowości - - -  
 Wolałoby się Pani pamiętać nauki języka polskiego, białych i polski,  
 gramatyki, i mniemam systematycznie się. Po tych latach kontinental  
 Pani, a my mamy mniemam portawali'simny się przyciężka, że obrotowa się Pani  
 do obrazu koncentracji. Koleżanka Pani żełmo, że rosła się szój  
 ślad w naszym pamięci. -  
 Usiłując przekazać swemu studentowi, obok możliwości profesji  
 małych i te wartości, które były nas Pani. - - -



## II. Materiały uzupełniające relację:

- Protokół z rozmowy przeprowadzonej przez E. Zawacką z doc. Ursulą Giniśką 4 dniem 1. II. 1974 r. w Sopocie Msp. z otrzymanymi dopiskami. Kserokopia, k. 1, s. 1.
- Uzupełnienie do w/w Protokołu, z dn. 1. marca 1974, podpisane przez Ursulę Giniśką. Msp. Kalka, oryg. k. 1, s. 2.
- "Konspiracja i ruskie pierogi" w "Dziennik Bałtycki" cyferek z gazetę. Fotograf. oryg. z egzemplarze. K. 2, s. 3-4.
- J. w. kserokopia k. 1, s. 5.
- "Koniak od nasu do nasu" w Dz. Bałt. z 5. III. 2002 cyferek z gazetę, fotograf. oryg. k. 1, s. 6.
- "Śniadectwo życia" art. Bogusława Olszowicza w "Gwiżdżona Mona" 13/2002 s. 26. Fotograf. (wiedokony). Msp. kserokopia. k. 1, s. 7.
- Dwa (różne) nekrologi Urszuli Giniśkiej. Cyferek gazet. Msp. oryg. k. 2, s. 8-9.





Protokół z rozmowy przeprowadzonej przez Elżbietę Zawacką

wypisy zrobione  
M. Gajda  
4.08.2000

w dniu 1.II 1974 z doc. Urszulą Wińską, Sopot, ul. Morska 7,

Zwróciłam się do U.W. /znanej mi osobiście od szeregu lat/ po przeczytaniu jej nazwiska w relacji Cz. Bekkego z Zagrody/.

U.W. razem z sierż. Jaskulą i wachm. Klimasem pracowała w komórce dywersji i wywiadu T.O.W. w Bochni. U.W. była przed wojną dyrektorką Gimnazjum żeńskiego w Bochni; była żoną oficera zawodowego, czynna społecznie w ZPOK i innych organizacjach. Zorganizowała w r. 1939 tajne nauczanie w Bochni pod pokrywką stworzoną przez oficjalnie funkcjonującą szkołę handlową.

Do U.W. przyjeżdżały w okresie od marca 1940 do Wielkanocy 1941 r. mniej więcej raz na 2 miesiące kurierki z Krakowa. Pierwszy kontakt nawiązała dawną uczennicą U.W., "Maśka" z relacji Cz. Bekkego, która przyjechała z poleceniami z Krakowa.

Kurierki kilka razy przywoziły m.in. truciznę w fiolkach. U.W. wie, że zostały użyte. Działanie trucizny było bardzo powolne; należało ją dodać do jedzenia. U.W. pamięta, że przekazała fiolkę dwóm swoim przedwojennym znajomym dziewczętom, które w czasie wojny okazały się dziewczętami o dość lekkich obyczajach i spraszały do siebie Niemców. - Potem w więzieniu na Montelupich pokazano U.W. takie fiolki, ale udało się jej nie przyznać się do faktu, że je znała.

Jak kurierka przywoziła pudło z małymi wkretkami, które należało w niewidoczny sposób umieścić w kablach telefonicznych. U.W. podjeżdżała wózkami, w którym leżał jej synek, do wielkich drewnianych szpul z kablami a Jaskuła wbijał wkretki do kabli; służyły one do ciągnięcia linii telefonicznych dla wojska z Bochni do Przyska.

U.W. została aresztowana w czerwcu 1941 r. w innej sprawie /była zaangażowana w trzech różnych pracach konspiracyjnych/. Mieszkanie było "czyste", ponieważ aresztowana wcześniej "Maśka" zdołała grypsiem z więzienia zawiadomić przez siostrę Franciszkę /vide relacja Cz. Bekkego, że jest aresztowana. Zapewniła równocześnie U.W., że jej nie "sypnie".

U.W. spotkała w więzieniu Montelupich Marylę Tomczak ze Śląska /do de "Polki" ? z Katowic, siedziała ona razem z Urszulą Świeczkowską z Krakowa. M. Tomczak była jakoby kurierką zagraniczną. W więzieniu zachowywała się wspaniale, podtrzymywała innych jako komendantka celi. U.W. uważa ją za nieprzeciętną postać. M. Tomczak była aresztowana w końcu 1940 r. po raz pierwszy w Katowicach. Czekano na nią w jej mieszkaniu z dwoma gestapowcami jej koleżanka, jakaś "Ela" ze Śląska. /"Ela" - może Zajac? - jest być może poszukiwaną przez K.Z. "Ela" z Chorzowa. Kg M. Tomczak przyprowadziła ona gestapowców bezwiednie, śledzona przez nich. / M. Tomczak była przed wojną nauczycielką szkoły podstawowej w Katowicach, rok urodzenia około 1910r? Tomczakównę nawet Niemcy traktowali w więzieniu za jej godną postawę z szacunkiem. Wypuszczona na wolność została po raz drugi aresztowana ponoc zagranicą z materiałami. Siedziała w więzieniu Moabit w Berlinie z wyrokiem śmierci. U.W. podaje, że przebywając na obozie w Ravensbrück otrzymała z Moabitu wiadomość o Tomczakównie. Wiadomość tę przyniosła Bortnowska, którą przewieziono z Moabitu do Ravensbrück.

U.W. wspominała również o Mieczysławie Dobrowolskiej jako o więźniarce, /obecnie docent Un. Śląskiego/

U.W. jest autorką artykułów nt. przeżyć okupacyjnych - drukowane w Krakowskim Roczniku Historycznym (tam m.in. wspomina o M. Tomczak)

Podobno  
miał być  
w Zagrodzie

Rozmowę zaproszono wafę E. Zawacką



do mel 9/74 11/2  
Gdańsk, dn. 1. marca 1974 r.

Uzupełnienia doc. Urszuli Wińskiej do "Protokołu rozmowy..." z dn. 1. II 74  
/jest to równoznaczne z autoryzacją oświadczeń /

do w. 18: U.W. przekazywała m.in. fielki swoim znajomym, siostrzenicami Pachutównym, których ojciec miał wytwórnię obuwia. Niemieccy oficerowie zamawiali tam buty. Pachutówny znając dobrze język niemiecki /pochodziły z Czech/, młode, przystojne, zapraszały do siebie oficerów niemieckich i wiadomo mi /U.W./, że kilka razy ~~niektórzy~~ udało im się zawartość fielki podać z przyrządzonymi przystawkami do wódki.

do w. 32: Maryla Tomczyk była łącznikiem między Śląskiem a Krakowem, aresztowana w Krakowie w końcu 1940 r. Zwolniona w sierpniu 1941 r. - była śledzona. Po raz drugi aresztowana zagranicą w materiałami, została razem ze swoją przyjaciółką Urszulą Świeczkowską /z ul. Zwierzynieckiej z Krakowa/ osadzona w więzieniu Moabit w Berlinie, z wyrokiem śmierci czekając na jego uprawomocnienie, w ciągu trzech miesięcy.  
- Wiadomość, że Tomczyk żyje podała na sali, gdzie doc. dr Debrowska /Un. Śląski/ na podstawie moich relacji mówiła do społeczeństwa śląskiego o Maryli Tomczyk.

podpisała doc. dr Urszula Wińska



"Ozrenie Bo. Tytuł" z 30.11.2001.

M. Wińska

11/3

# Pomorze

www.naszemiasto.pl

Sopot. 99 urodziny członkini Armii Krajowej

## Konspiracja i ruskie pierogi

*Kosz kwiatów, słodczyce i wyborne wino z okazji 99 urodzin przyjęła od przedstawicieli władz Sopotu Urszula Wińska, mieszkanka kurortu i jedna z najstarszych w kraju członkiń Armii Krajowej.*

- Do 1941 roku mój dom w Bochni był ośrodkiem konspiracji AK - wspomina Urszula Wińska. - To był punkt kontaktowy, przez który przechodziły meldunki.

W 1941 roku Urszula Wińska trafiła do niemieckiego obozu Ravensbrück, w którym przebywała do końca wojny. Po wyzwoleniu przyjechała do Sopotu. W tym mieście odnalazła spokój.

- W Sopocie spędziłam najlepsze lata życia - wspomina.

Sędziwa jubilatka po wojnie pracowała m.in. w szkołach zawodowych, na-



**- Sekret długiego życia polega na niepoddawaniu się przeciwnościom losu i zachowaniu wewnętrznego optymizmu - twierdzi Urszula Wińska.**

Fot. Adam Warżawa

stępnie była kierownikiem Zakładu Metodyki Języka Polskiego na Uniwersytecie Gdańskim. Jest autorką m.in. książki „Więzi”.

- W najgorszych chwilach życia nie opuszczał mnie optymizm i wiara, że nastanie lepsze - dodaje. - Może dlatego udało mi się dożyć tak pięknego wieku.

Po niedawnej operacji uda pani Urszula nie opuszcza już sopockiego mieszkania. Ceni sobie dobrą kuchnię, przepada za ruskimi pierogami. (sr)



II/4

Sopot. 99 urodziny członkini Armii Krajowej

# Konspiracja i ruskie pierogi

Kosz kwiatów, słodczyce i wyborne wino z okazji 99 urodzin przyjęła od przedstawicieli władz Sopotu Urszula Wińska, mieszkanka kurortu i jedna z najstarszych w kraju członkin Armii Krajowej.

- Do 1941 roku mój dom w Bochni był ośrodkiem konspiracji AK - wspomina Urszula Wińska. - To był punkt kontaktowy, przez który przechodziły meldunki.

W 1941 roku Urszula Wińska trafiła do niemieckiego obozu Ravensbrück, w którym przebywała do końca wojny. Po wyzwoleniu przyjechała do Sopotu. W tym mieście odnalazła spokój.

W Sopocie spędziłam najlepsze lata życia - wspomina. Sędziwa jubilatka po wojnie pracowała m.in. w szkołach zawodowych, na-



- Sekret długiego życia polega na niepoddawaniu się przeciwnościom losu i zachowaniu wewnętrzznego optymizmu - twierdzi Urszula Wińska.

Fot. Adam Wierzyński

stępnie była kierownikiem Zakładu Metodyki Języka Polskiego na Uniwersytecie Gdańskim. Jest autorką m.in. książki „Więzi”.

W najgorszych chwilach życia nie opuszczał mnie optymizm i wiara, że nastanie lepsze - dodaje. - Może dlatego udało mi się dożyć tak pięknego wieku. Po niedawnej operacji uda pani Urszula nie opuszcza już sopockiego mieszkania. Ceni sobie dobrą kuchnię, przepada za ruskimi pierogami. (sr)

L.52. 0061 WSK 2002 1 od w. Kopyciowicz 201



11/5

Sopot. 99 urodziny członkini Armii Krajowej

# Konspiracja i ruskie pierogi

*Kosz kwiatów, słodycze i wyborne wino z okazji 99 urodzin przyjęła od przedstawicieli władz Sopotu Urszula Wińska, mieszkanka kurortu i jedna z najstarszych w kraju członkiń Armii Krajowej.*



- Do 1941 roku mój dom w Bochni był ośrodkiem konspiracji AK - wspomina Urszula Wińska. - To był punkt kontaktowy, przez który przechodziły meldunki.

W 1941 roku Urszula Wińska trafiła do niemieckiego obozu Ravensbrück, w którym przebywała do końca wojny. Po wyzwoleniu przyjechała do Sopotu. W tym mieście odnalazła spokój.

W Sopocie spędziłam najlepsze lata życia - wspomina.

Sędziwa jubilatka po wojnie pracowała m.in. w szkołach zawodowych, na-

stępnie była kierownikiem Zakładu Metodyki Języka Polskiego na Uniwersytecie Gdańskim. Jest autorką m.in. książki „Więzi”.

- W najgorszych chwilach życia nie opuszczał mnie optymizm i wiara, że nastanie lepsze - dodaje. - Może dlatego udało mi się dożyć tak pięknego wieku.

Po niedawnej operacji uda pani Urszula nie opuszcza już sopockiego mieszkania. Ceni sobie dobrą kuchnię, przepada za ruskimi pierogami. (sr)

**- Sekret długiego życia polega na niepoddawaniu się przeciwnościom losu i zachowaniu wewnętrznego optymizmu - twierdzi Urszula Wińska.**

Fot. Adam Warszawa



## Koniak od czasu do czasu

100 lat ukończyła Urszula Wińska, była kierownik Katedry Metodyki Języka Polskiego i Literatury Uniwersytetu Gdańskiego. Urodziny obchodziła 28 marca. Wczoraj z najlepszymi życzeniami i koszem słodkości odwiedził ją Jacek Karnowski, prezydent Sopotu. W czasie II wojny światowej doc. Wińska spędziła 3 lata w kobiecym obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. W 1945 r. zamieszkała na stałe w Sopocie. Po przejściu na emeryturę napisała dwie książki. 100-lątka miała syna, który zmarł w 1987 r. Doczekała się wnuka i dwóch prawnuków. Nie ma recepty na długowieczność. Od czasu do czasu pozwala sobie na kieliszek koniaku. (hb)



**Doc. Urszula Wińska jest w świetnej formie.**

Fot. Krzysztof Mystkowski

# Świadectwo życia

Bogusław Olszonowicz

O setnych urodzinach profesor Urszuli Wińskiej, wieloletniego kierownika Katedry Metodyki Nauczania Języka Polskiego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Sopocie, później Uniwersytetu Gdańskiego, pamiętali nie tylko jej najbliżsi, ale także liczne grono wychowanków i byłych współpracowników. To właśnie oni, prosząc, aby w intencji dostojnej jubilatki została odprawiona Msza święta dziękczynna, dali świadectwo czegoś więcej, niż zwyczajnej w takich okolicznościach pamięci – podkreślił podczas jubileuszowej uroczystości proboszcz parafii św. Bernarda w Sopocie, ks. kanonik Tadeusz Bach.

Profesor Urszula Wińska (z domu Wandasiewicz) wciąż zachowuje godną pozazdroszczenia jasność umysłu, pogodę ducha i ciekawość świata. W sopockim mieszkaniu, pełnym pamiątek i wspomnień czuje się najlepiej. Z odwiedzającymi ją przyjaciółmi chętnie dyskutuje, pyta o dawnych podopiecznych. Cieszy się z odzyskanej przez Rzeczpospolitą wolności, niemniej często z nostalgią powtarza, że *przez długie życie człowieka przeplata się historia, z której powinniśmy nauczyć się wyciągać odpowiednie wnioski*. Jakie więc było życie jednej z najstarszych mieszkańców Sopotu?

Urodziła się 28 marca 1902 r. w Dynowie nad Sanem. Atmosferę domu rodzinnego określa jako: *Pełne ciepła i miłości gniazdo, w którym religia i patriotyzm były otoczone najwyższym szacunkiem, a dbałość o wykształcenie uznawane za szczególny obowiązek wobec Ojczyzny*.

Po ukończeniu nauki w prywatnym gimnazjum w Jarosławiu, podjęła studia we Lwowie na Uniwersytecie Ja-

na Kazimierza. Zmiana miejsca zamieszkania na Kraków spowodowała, że kontynuowała naukę pod kierunkiem prof. Ignacego Chrzanowskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tam też obroniła doktorat w roku 1927. Pierwszą pracę podjęła w prywatnym Seminarium Nauczycielskim w Robczycach, a na początku lat trzydziestych zaproponowano jej stanowisko dyrektora w żeńskim gimnazjum w Bochni. W 1932 r. założyła rodzina wychodząc za mąż za oficera Tomasza Wińskiego. Oprócz pracy nauczycielskiej pani Urszula została zaproszona do działalności w organizacji skupiającej rodziny wojskowych, której po pewnym czasie została również przewodniczącą.

Wspomnienia tamtych lat są wciąż żywe i wywołują szczere wzruszenie. Ku zaskoczeniu pani profesor, okazało się, że mimo zawieruchy wojennej zachowała się fotografia z 1933 r., której reprodukcję nadesłały jej na początku tego roku dawne uczennice. *One na tym zdjęciu wydają się niewiele młodsze ode mnie, ale doskonale się rozumiałyśmy – uśmiecha się, dodając z czułością – Po tylu latach pamiętają o mnie, to niesamowite*.

Wspomnienia pierwszych lat drugiej wojny światowej to także zapierająca dech w piersiach opowieść, m.in. o ucieczce przed hitlerowcami z Bochni do Łucka i o drodze powrotnej, która też była ucieczką, tyle że przed wojskami sowieckimi i wywózką na Sybir.

*Utrudzeni i zdeorientowani wróciliśmy do Bochni, do domu. W mieszkaniu nie było już ani jednej całej szklanki, ani łyżki, ale za to w szkole, dzięki determinacji woźnego, pana Wojciecha, który przez wszystkie dni tam nocował, okazało się, że gabinety są kompletne i można rozpocząć nauczanie młodzieży – wspomina. Wznowiona nauka nie trwała długo, bo po akcji partyzantów na miejscowy posterunek policji, hitlerowcy w odwecie rozstrzelali czterdziestu dwóch mieszkańców Bochni i naka-*



zali zamknąć szkołę. Z tak drastyczną decyzją okupanta nie mogła zgodzić się ani pani Urszula, ani pozostali nauczyciele bochnieńskiego gimnazjum, którym udało się jeszcze przez jakiś czas kontynuować nauczanie na tzw. tajnych kompletach. *W sumie przychodziło dwustu uczniów, a zajęcia odbywały się od ósmej rano do dwudziestej zarówno w moim, jak i sąsiednim mieszkaniu należącym do sekretarki dawnego gimnazjum – wspomina pani profesor*.

Wkrótce jednak miał się rozpocząć najtrudniejszy okres w życiu dostojnej jubilatki, który z perspektywy lat nazywa *uniwersytetem życia*. 21 czerwca 1941 r. została aresztowana przez hitlerowców i wywieziona najpierw do więzienia w Krakowie, a później do obozu koncentracyjnego w Ravensbruck. Strach, uczucie zagrożenia, poniżanie, a przy tym, jakby na przekór intencjom oprawców, heroiczna walka o zachowanie godności, to codzienność obozowego życia, która trwała do początku maja 1945 r. *Moje przeżycia obozowe opisałam w książce pt. „Zwyciężyły wartości”, gdzie starałam się pokazać, że dzięki wierze, mogłyśmy uratować nasze człowieczeństwo – podkreśla*.

Po powrocie do Bochni, mimo że odnalazła wszystkich swoich bliskich, męża i syna, nie czuła się dobrze.

*Ja przeżyłam piekło i już byłam inna, ale i oni byli inni – uzasadnia decyzję o wyjeździe w sierpniu 1945 r. całej rodziny na Wybrzeże, do Sopotu. Tu także rozpoczyna pracę nauczyciela. Najpierw była to krawiecka szkoła zawodowa, gdzie – jak wspomina – niewiele dziewcząt znało język polski. Zaprocentowała w tym*



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 1 grudnia 2003 r. zmarła w wieku 102 lat

**prof. dr hab. URSZULA WIŃSKA**

*Harcerka, nauczycielka, więźniarka obozu w Ravensbrück. Emerytka,  
długoletni pracownik Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Uniwersytetu Gdańskiego,  
organizator i kierownik pierwszej w Polsce Katedry Metodyki i Nauczania Języka Polskiego.  
Autorka licznych prac historyczno-literackich i metodycznych oraz książek wspomnieniowych.  
Uchoronowana najwyższymi odznaczeniami państwowymi.*

Msza święta zostanie odprawiona 5 grudnia o godz. 11.00 w kościele pw. św. Andrzeja Boboli w Sopocie.

Pogrzeb odbędzie się 5 grudnia 2003 r. o godz. 12.30 na cmentarzu Komunalnym w Sopocie.

Dziekan i Rada Wydziału Filologiczno-Historycznego  
Uniwersytetu Gdańskiego

10176385/A/1273



Szczęśliwi, którzy odchodzą do Pana.

W poczuciu wielkiej straty, z głębokim żalem  
przyjliśmy wiadomość o śmierci

Ś P

Profesor dr

**Urszuli Wińskiej**

(28.03.1902 - 1.12.2003)

Wrażliwa na potrzeby każdego człowieka,  
była Mistrzynią wielu pokoleń nauczycieli  
od seminarium nauczycielskiego w Bochni poprzez  
tajne nauczanie po wybuchu II wojny światowej,  
wyjątkowe nauczanie młodzieży w piasiekach w obozie Ravensbrück,  
organizowanie od podstaw szkolnictwa na powojennym Wybrzeżu  
aż po kształcenie akademickie nauczycieli w WSP w Gdyni  
i na Uniwersytecie Gdańskim jako Organizator i Kierownik pierw-  
szej w Polsce Katedry Metodologii Nauczania Literatury i Języka  
Polskiego, Twórczyni wszechstronnej i nowoczesnej  
gdańskiej szkoły kształcenia nauczycieli polonistów.

Otoczona do końca życia miłością, szacunkiem i wdzięcznością  
najbliższej rodziny i całego pokolenia uczniów,  
była dla nas wzorem prawości i dobroci,  
patriotyzmu i uniwersalizmu chrześcijańskiego

uczniowie, przyjaciele, współpracownicy  
z Zakładu Dydaktyki Języka Polskiego UG

Msza pogrzebowa odbędzie się 5 grudnia 2003 roku  
o godzinie 11.00 w kościele św. Andrzeja Boboli w Sopocie.  
Pogrzeb tego samego dnia o godzinie 12.30  
na cmentarzu Komunalnym w Sopocie.

† WINSKA Urszula T. 1817/LSK

II/9 ~~P~~  
wizytowka  
Ravensbrück

AWM2004

III/1. Materiały dotyczące rodziny re-  
-latora

- u. Wińska, Droga Tomasza do Polski i służba dla Niej (1893-1952); Wspomnienie u. Wińskiej o ~~...~~ Tomaszu Wińskim; mps (oryg.), k. 33, s. 1-33.



11/1/1  
Ldz: 613/W54/  
2001

**Droga Tomasza do Polski  
i służba dla Niej.  
(1893-1952)**

1939  
1949  
pomyślna do Fundacji Ardeus w Pomorlu Ak  
w Toruniu III 2001 r prof Ursula Winińska

III 2001 r

Σ Zawacka



Tomasz Winski, syn Jana i Marii z Kulczyckich, urodził się 6 października 1883 roku we wsi Micowce na Podolu, pod zaborem rosyjskim.

### Środowisko rodzinne i społeczne

W rodzinie Winskich, prócz Tomasza były jeszcze dwie jego młodsze siostry, i Teofil Kulczycki, stryjeczny dziadek matki Tomasza.

Tomasz nazywał go „dziaduś”. Teofil Kulczycki za udział w Powstaniu Styczniowym 1863 r. był zesłany na Sybir. Gdy po latach wrócił nie zastał już swoich rodziców a majątek został skonfiskowany.

Matka Tomasza była jedyną krewną i u nich zamieszkała. Wspominam o tym, ponieważ opowiadania „Dziadusia”, o Powstaniu, o Polsce miały wpływ na kształtowanie patriotyzmu młodego Tomka.

Winscy, herbu „Lubicz”, notowani w składzie Chorągwi Podlasko-Wołyńskiej, jako biorący udział w bitwie Wiedeńskiej. Dokumenty spłonęły w czasie ostatniej wojny, były w posiadaniu Adolfiny z Winskich-Woroszowskiej w Micowcach.

Jan Winski, ojciec Tomasza, traktował ludzi ze wsi z pańskim dystansem, to w czasie rewolucji bolszewickiej odbiło się na jego losie.

Tomasz robił ojcu uwagi z tego powodu, ale ten despotyczny człowiek nawet nie reagował na to. Mówiła też o tym siostra Tomasza, która przyjechała do nas na zaproszenie Rysi Koschmidder, córki Tomasza z pierwszego małżeństwa.

Ojciec nie chciał się zgodzić na jej małżeństwo z kowalem ze wsi. Wzięli ślub w innej miejscowości, nie wróciła do domu rodziców.

To też, gdy bolszewicy zabrali ich dom na szpital, ojca nocą przyprowadziła do siebie i ukryła go w komórce.

Do matki nie mieli pretensji, mogła jawnie przebywać u córki.

Micowce są wsią bardzo rozległą, liczącą około 30 tysięcy mieszkańców - Polaków i Ukraińców - stale ze sobą skonfliktowanych. Relacjonował mi o tym Andrzej Koschmidder, syn Ry-si, który na zaproszenie ciotki Adolfiny był w Micowcach.

Nie tylko stosunek ojca do ludzi wsi był przyczyną buntu Tomasza. Ważniejsze było to, że Tomasz chciał się uczyć, a ojciec przeznaczał go na gospodarza-ziemianina, swego następcę.

Gdy kończyły się wakacje, doszło do decydującej rozmowy. Po ostrych słowach - ojciec uderzył Tomasza w twarz.

Ten zabrał swoje rzeczy i poszedł z domu.

### W Płoskirowie

Tomasz dotarł do Płoskirowa, znalazł szkołę, zdał egzamin, był uczniem, ale uczniem bez dachu nad głową i bez środków do życia.

W pierwszym dniu nauki został w klasie i odrabiał lekcje. Przyszedł woźny sprzątać. Nie zauważył chłopca. Starszy człowiek z trudem przesuwiał ciężkie ławy. Tomasz zerwał się i zaczął mu pomagać. Muszę tu powiedzieć, że Tomasz był

otwarty na ludzi i wrażliwy na potrzeby człowieka. Mogłam się później przekonać o tym w różnych sytuacjach.

Starszy człowiek zdziwiony, zapytał Tomasza, co on robi po lekcjach w klasie, czy został za karę? Tomasz powiedział, że odrabiał lekcje tutaj, bo nie ma jeszcze mieszkania. Temu obcemu człowiekowi opowiedział o swojej sytuacji.

Woźny zaproponował mu, by spał w szkole dopóki nie znajdzie mieszkania, ale nie w klasie. „Jest w magazynie dużo miejsca tam przygotuję ci posłanie” powiedział. Do siebie nie mógł go zabrać, miał chorą żonę. I tak się zaczęło - Tomasz pomagał woźnemu sprzątać w szkole, a woźny przygotował posłanie, dał mu klucz od magazynu i zaproponował by przychodził do niego po czaj (herbatę).

Tomasz odrabiał lekcje w klasie, pomagał sprzątać. Wynosił z klas kosze z papierami do zbiornika. Raz zauważył paczuszkę nie rozwiniętą. Była to kanapka, którą wrzucono do kosza. Tak żył do pierwszej wywiadówki. Był dobrym matematykiem i profesor polecał go jako korepetytora. Już nie miał pieniędzy, te które matka wsunęła mu do kieszeni wydał na książki i zeszyty. Odtąd przeglądał kosze i zawsze coś znajdował.

Gdy dostał korepetycje zmieniło się jego życie. W jednym polskim domu uczył dwóch chłopców, dostał za to mały pokój, za wyżywienie dopłacał. Tam po raz pierwszy zetknął się z polską książką. W domu, w Micowcach, były tylko książki do nabożeństwa. Inne były zakazane. Na wakacje zabrał do domu kilka książek. O ile dobrze sobie przypominam, także trylogię Sienkiewicza. Czytali wszyscy. „Dziadusiowi” Kulczyckiemu Tomasz czytał głośno, już nie widział i słabo słyszał.



Do Płoskirowa Tomasz wrócił z książkami, wszystkie przeczytał i zwrócił właścicielom.

Za parę tygodni został aresztowany za kolportaż książek polskich i skazany na zesłanie.

### W drodze na Sybir

Dziesięcioosobową kibitką jechali bardzo długo. Tomasz nie mógł określić, miesiąc czy dwa. Nie chciał wracać do tych wspomnień. Mnie bardzo interesowały. Z literatury wiedziałam o wywożeniu Filomatów z Wilna na Sybir - kibitkami. Tomasz narysował - wóz jak wagon cyrkowy na bardzo wysokich kołach, by mógł przejechać przez zarośnięty step i pod wozem były paki na żywność. Wewnątrz dwie ławy dla dziesięciu więźniów. Dwa małe okienka i dach podnoszony gdy była pogoda, spuszczały w deszcz.

Tomasz szybko zorientował się, że jego towarzysze to przestępcy kryminalni. Kiedy dowiedzieli się, że on skazany jest za czytanie książki, nie interesowali się nim. Ich rozmowy dotyczyły różnych przestępstw.

Tomasz pograżał się w przypominaniu treści przeczytanych książek i modlitwie. Pamiętał, jak matka, gdy szedł do Płoskirowa nakazywała mu, by nie zapominał o modlitwie. Dwa razy dziennie wyskakiwali z wozu, nie mogli schodzić, mieli na nogach kajdany. Czasem gdy było ciepło spali na powietrzu, wtedy mogli wyprostować nogi. Dojechali do miejscowości Bodajbo, w środkowej Syberii. Tam Tomasz pracował w kopalni złota. Te warunki dobrze rozumiałam: ciężka praca, 12 godzin pod nadzorem, głód, bród, tłok w baraku, gdzie mieściło się

1500 osób spali na piętrowych pryczach. Tomasz dostał pryczę na parterze. Wieczorem klękał do pacierza. To wzbudzało z początku śmiech. Potem przyzwyczaili się i nie zwracali uwagi. Ale zauważył to po kilku miesiącach dozorca bloku. Prycze były numerowane. Poszukał dokumentu Tomasza i stwierdził, że nie jest kryminalnym, ale politycznym więźniem. Tacy więźniowie pracowali przy budowie kolei. Tomasz uważał to za działanie Opatrzności. Czuł, że nie wytrzymałby dłużej.

Kiedy byłam w obozie koncentracyjnym - Ravensbrück - często przypominałam to sobie i rozumiałam Tomasza. Praca na powietrzu i między ludźmi uratowała go.

Tymczasem matka Tomasza pisała błagalne listy do swego brata pułkownika armii carskiej o pomoc dla syna. Tomasz pracował już przy budowie kolei w miejscowości Tachanoj.

W 1909 roku, dzięki staraniom wuja, pojechał na osiedlenie do Irkucka jako pracownik umysłowy, na Zabajkalskiej Kolei Żelaznej, najpierw w dziale prawnym, a potem w kancelarii ogólnej. Cały czas uczył się jako eksternista i zdawał egzaminy i maturę. Pisząc to, przypominam sobie, że Józef Piłsudski też zdawał maturę w Irkucku.

Z relacji Rysi: „W czasie pracy na kolei tata był w Inocentiwcach, miejscu zesłania św. Inokcetyja, patrona Syberii, który okazał się herbu „Sas”, jakim pieczętowali się Kulczyccy”.

Przypominam sobie wydarzenie jakie miało miejsce w Irkucku na egzaminie z historii rosyjskiej, który Tomasz zdawał jako eksternista. Tomasz miał trudności z posługiwaniem się literackim językiem rosyjskim. Nic dziwnego w domu mówiło się po

polsku, na wsi po ukraińsku. Za krótko był w szkole średniej, by mógł dobrze opanować literacki język rosyjski. Na pytanie profesora sformułował sobie w umyśle odpowiedź w języku polskim i prawie bezwiednie tak ja wypowiedział. Profesor dobrze rozumiał język polski, był potomkiem zesłańca, ale sam już nie mówił.

Egzamin przemienił się w rozmowę o losie Tomasza, który na życzenie profesora mówił po polsku. Wspomniał o dziadku Teofilu w powstaniu. Tak odbył się egzamin z historii rosyjskiej, zakończony uściśnięciem ręki i bardzo dobrym stopniem.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej w 1914 roku Tomasz zgłosił się na ochotnika do wojska by wydostać się z Syberii. Walczył wysłany na front w Polsce pod Przemyślem, 40 km od Dynowa mego miejsca rodzinnego. Choć Moskale nie zdobyli tej twierdzy nad Sanem, Tomasz został w tej walce odznaczony Krzyżem św. Jerzego największym odznaczeniem wojennym i dzięki temu skierowany do Szkoły Oficerskiej w Moskwie. Nie trudno sobie wyobrazić jak czuł się młody człowiek, przemieszczony z pola bitwy do szkoły, gdzie ludzie żyli tak, jakby im nic nie zagrażało.

Gdy wybuchła rewolucja 1917 roku Tomasz był w POW (tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej). Z Moskwy w przebraniu pojechał do Micowic, do rodziny, którą przed tyłu laty opuścił. Do domu przyszedł nocą i następnej nocy wyruszył na Ukrainę. Teofil Kulczycki już nie żył, o czym ze smutkiem Tomasz wspominał. To było ostatnie spotkanie Tomasza ze swoją rodziną.



Udał się na Ukrainę, dotarł do Winnicy i tam w stopniu podporucznika znalazł się w wojsku Petlury.

### W Winnicy na Ukrainie

Wiadomości o tym okresie życia i działalności Tomasza poznałam ze Wspomnień Marii Tyszewiczowej, babci Rysi, która pisała je dla wnuczki i listów p. Władysławy Tyszewiczówny pisanych do przyjaciółki (Stefci). Materiały te są w posiadaniu Rysi, która mi je udostępniła.

Na Ukrainie toczyły się walki między wojskiem Petlury a bolszewikami. W Winnicy było mnóstwo uciekinierów, przeważnie byli to ziemianie i administratorzy majątków, którzy uciekali do miasta przed ludnością wiejską. W tych walkach zmieniły się władze w Winnicy. Raz byli przy władzy bolszewicy, to znowu petlurowcy. Wtedy i jedni i drudzy mścili się na mieszkańcach za rzekomą współpracę z przeciwnikiem. Były aresztowania, rozstrzeliwania. W tej sytuacji wzmogła się działalność POW. Pani Tyszewiczowa oddała trzy pokoje w swoim mieszkaniu na spotkania „kurierów” jak nazwalibyśmy to dzisiaj. Śledzili sytuację i wiadomości zawozili do Warszawy.

Tomasz znalazł się w wojsku Petlury w stopniu podporucznika i należał do POW. Nawiązał kontakt i w tej pracy, poznał córkę p. Tyszewiczowej - Władysławę. Była to osoba mądra z natury, jak ja wspomina matka, starannie wychowana na pensji w Odessie i Warszawie na pensji hrabianki Zyber-Platerówny, znanej powszechnie z patriotycznego wychowania młodzieży. Grała na fortepianie, jeździła konno, zaczęła studia matema-

tyczno-fizyczne. Podobała się Tomaszowi, który jak wspomina matka, oświadczył się o nią. Ale w tym czasie nie można było myśleć o weselu. A sama Władzia napisała do swej przyjaciółki - Stefci - (list w posiadaniu Rysi) „Winski jest trochę zukrainizowany, za mało posiada ogłady, ale tam gdzieś głęboko ma ducha patriotycznego. Sama namawiała go by przedostał się przez granicę do Polski.

### W Polsce

Przy odpowiedniej okazji Tomasz przedostał się do Polski i z wojskiem gen. Hallera dotarł aż do Gdańska. W randze podporucznika służył w 49 Pułku Strzelców Kresowych.

Z relacji Rysi: „Nie wiem w jakim charakterze przebywał w Gdańsku. Mogło to mieć miejsce wówczas, gdy po utworzeniu Wolnego Miasta Francuzi na podstawie traktatu wersalskiego przekazywali Gdańsk Polsce 1918/19. Znał język francuski (nauczył się w szkole oficerskiej). Za tę działalność otrzymał medal - na jednej stronie Nike, a na drugiej Oracz. Wstążka była tęczowa.”

Tomasz brał udział w wojnie z bolszewikami 1920 r. i został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Przeniesiony do Starogardu, do 46 Pułku Strzelców Kresowych w randze porucznika, stacjonował też w Grudziądzu o Brodnicy.

Odnalazł rodzinę Tyszewiczów w Poznaniu. Nawiązał bliższy kontakt z p. Władzią, co doprowadziło do małżeństwa. Zamieszkali w Starogardzie.

Zarówno klimat na Pomorzu, jak i chłodne stosunki międzyludzkie nie odpowiadały osobie wyrosłej wśród szerokich pól

i lasów Ukrainy w ciepłych międzyludzkich kontaktach. Nadto długie więzienie u bolszewików odbiło się na zdrowiu pani Władysławy.

15 kwietnia 1926 roku urodziła się Rysia. Matka umarła w cztery tygodnie po urodzeniu dziecka. Pani Tyszewiczowa babcia Rysi zabrała dziecko do Poznania i tam je wychowywała. Po śmierci babci wychowaniem Rysi zajęła się Maria Jarrowsa, siostra matki Rysi.

Tomasz, który bardzo kochał dziecko, przeniósł się do Poznania, aby być bliżej Rysi, do pułku piechoty, ale nie pamiętam jakiego. W 1931 kapitan Winski został skierowany do Bochni na kurs szkoleniowy do 5 Dywizjonu Taborów. Trzeba tu wyjaśnić, że 5 Dywizjon był centrum nie tylko szkoleniowym, ale również badawczo-doświadczalnym.

Tomasz przyjechał do Bochni przed Bożym Narodzeniem 1931 r. Zamieszkał u państwa Fiszerów. Była to rodzina bardzo szanowana w Bochni. Profesor Fiszer był emerytowanym polonistą Państwowego Gimnazjum Męskiego. Zajmował się badaniem Kronik Żup Solnych w Bochni i malował. Miara jego zasług dla tego miasta jest Muzeum, które nosi jego imię.

Znałam towarzysko państwa Fiszerów, uczyłam ich córkę Wandę w Seminarium Nauczycielskim. Nie zdziwiłam się zaproszeniu na herbatkę karnawałową po nowym 1932 roku. Tam poznałam kapitana Winskiego. Zdziwiło mnie jego zainteresowanie moją osobą. Miałam krytyczny stosunek do oficerów WP, za ich zarozumiałość i pewność siebie. Gdy nowo poznany kapitan zapytał mnie, czy może złożyć wizytę, odpowiedziałam że ja nie przyjmuję mężczyzn.



Na drugi dzień przyszła do mnie p. Fiszerowa z zapytaniem, czy mogą z mężem i p. Winkim przyjść w niedzielę. Nie mogłam odmówić. Miałam już zorganizowany dom z gosposią, mieszkali ze mną mój brat, uczeń gimnazjalny i kuzynka uczęszczająca do Seminarium nauczycielskiego. W niedzielę przyszedł Winski sam z kwiatami, państwo Fiszerowie mieli przyjść później.

Opowiedział szczerze o sobie, całą historię swego życia, wy-  
czułam wielki patriotyzm. Ja też szczerze odpowiedziałam. W  
moich planach życiowych nie ma miejsca na małżeństwo. Jestem  
najstarsza, sześcioro rodzeństwa i dwie kuzynki, sieroty po  
siostrze mojej matki, chodzą do szkoły. Matka ich zginęła w  
czasie rewolucji bolszewickiej na Podolu.

W Dynowie nie ma szkoły średniej, muszę pomóc rodzinie. Dla-  
tego założyłam dom, mam gosposię i w tej chwili są u mnie  
mój brat uczeń gimnazjum i kuzynka uczęszcza do Seminarium  
Nauczycielskiego, w którym uczę.

Na to usłyszałam - „doskonale, będziemy razem wychowywać i  
Rysia będzie miała większą rodzinę”. I tak się stało.

Kiedy przyjechali P. Fiszerowie, pogratulowali nam i dowie-  
działam się, że ich spóźnienie było celowe. Ślub wzięliśmy 7  
lipca 1932 r. w Kościele Mariackim w Krakowie i pojechaliśmy  
do Poznania.

Dla mnie teraz ważnym problemem była Rysia. Spotkałam ją  
pierwszy raz na obiedzie u p. Jarowej. Z późniejszych wyznań  
Rysi, już w Bochni, i dla niej to pierwsze spotkanie było  
wielkim przeżyciem, zwłaszcza, że ciotka straszyla ją „maco-

cha". Nim weszła do pokoju przez szparę uchylonych drzwi obserwowwała mnie.

Myślała sobie, jeśli będę umalowana, to będę zła. Taka była filozofia dziecka. Na szczęście nie malowałam się. Wystarczyło kilka spacerów, by nabrała do mnie zaufania. Powiedziała, że bardzo chciała mieć matkę, jak inne dzieci, dlatego przed nimi mówiła o ciotce, która ją przyprowadzała do przedszkola, że to mama.

Tomasz otrzymał w Poznaniu piękne mieszkanie. Ja jednak nie chciałam opuszczać Bochni. Miałam tam bardzo dobre warunki pracy i byłam bliżej mojej rodziny. Postanowiliśmy, że Tomasz będzie się starał o przeniesienie do Bochni, a w przyszłym roku, kiedy Rysia już pójdzie do szkoły też przyjedzie tam.

Udało się zrealizować ten plan, zwłaszcza, że wynajęliśmy duże mieszkanie w willi z ogrodem, tuż przy szkole do której miała uczęszczać Rysia.

W roku 1933 już stanowiliśmy pięcioosobową rodzinę, a za dwa lata, gdy po śmierci rodziców przyjechała do nas moja 12-letnia, najmłodsza siostra - Zosia byliśmy sześcioosobową rodziną. Kochającą się i harmonijną.

Tomasz szybko zaaklimatyzował się w nowej pracy. Prowadził badania z dziedziny taborów, pisał artykuły do Polski Zbrojnej, zaczął grać w brydża w kasynie oficerskim.

Kiedy zorientował się, że ta gra go wciąga, aby nie ulec uzależnieniu, zapisał się na Uniwersytet Jagielloński - do Szkoły Nauk Politycznych. Codziennie po pracy jeździł do Krakowa, zdawał egzaminy i ukończył szkołę.

**Wszystko się zmieniło z wybuchem wojny 1 września 1939r**

Tomasz 29 sierpnia 1939 roku wyjeżdżał do Krakowa, tam w 56 pułku piechoty miał przydział z mobilizacji. Gdy żegnał się powiedział, byśmy się nie ruszali z miejsca, nawet gdyby tu przyszli Niemcy. Byłam oburzona, że on oficer polski może mówić o przyjściu Niemców.

1 września, jako przewodnicząca Rodziny Wojskowej otrzymałam od kwatermistrza pismo, o ewakuacji Rodziny Wojskowej.

Pamiętam treść tego pisma, a jest ono charakterystyczne więc je przytoczę.

Bochnia jest na linii frontu. - Zarządzam ewakuację Rodziny Wojskowej. 3 samochody, z tego dwa kryte i dostawczy.

Kierunek na Łuck. Tam w Komendzie Miasta wyznaczają kwatery.

Zabrać rzeczy niezbędne na krótki pobyt. Wyjazd drugiego przed południem. -

Podano mi spis osób - z moją rodziną: Rysia, Zosia i jednoroczny mój syn Andrzejek - było 46 osób. Wyjechaliśmy o 9-tej godzinie, a 3-go września po południu byliśmy w Łucku. Jechaliśmy w szeregu z wojskiem. W Łucku otrzymałam kwatery. Pierwsza w Poddębcach na plebani, reszta w stanicach wojskowych odległych po kilka km.

Ze względu na dziecko zostałam na plebani, jak się okazało ks. prawosławnego.

5 września przyjechał płatnik 5 Dywizjonu por. Wnęk i wypłacił nam awansem 3 miesięczne pobory mężów.

Zapytałam go, dlaczego wojsko ucieka?



To nie jest ucieczka, to strategia, koncentracja wojska, by utworzyć front wschodni. W ciągu 2 tyg. Nasi Sojusznicy utworzą zachodni i razem uderzymy. To będzie błyskawiczna wojna. Zapytałam, czy wszyscy oficerowie są tu w pobliżu. Usłyszałam, prawie wszyscy, z wyjątkiem rotmistrza Winskiego. A co z mężem. - Zameldował dowódcy, że w lasach Janowskich walczy pułk Kawalerii, (nie pamiętam nazwy) „jestem żołnierzem i melduję się do walki”.

Tu już wybiegam naprzód: wszyscy oficerowie 5 Dywizjonu zginęli w Katyniu. Uratował się tylko Tomasz. Walczył z Niemcami i dostał się do niewoli.

Ja z Rodziną Wojskową wróciłam 20 września późną nocą. Jak dowiedziałam się po latach sowieci 20-go zamknęli granicę na moście nad Bugiem. Tak dzięki Batuszce z Poddębic i ukrywającemu się tam pułkownikowi armii carskiej uniknęłyśmy zesłania na Syberię. Uważam, że tu działała Opatrzność Boża nad nami.

28 września 1939 r. pamiętam była to niedziela. Jakiś nieznanemu mężczyźnie przyniósł list od męża. Prosił, bym w poniedziałek o godz. 9-tej była na dworcu kolejowym, są w Biadolinach (stacja 30 km. Przed Bochnią) jada do oflagu.

Na dworcu zastałam p. Chmielewską, żonę kapitana. Była z innej jednostki wojskowej i nie należała do naszej Rodziny Wojskowej.

Ona też otrzymała od męża taką samą wiadomość. Gdy o godzinie 9-tej pociąg nie przyjechał, dyżurny ruchu zatelefonował do Biadolin. Dowiedział się, że pociąg odstawiony na bocznicę. Jest podejrzenie epidemii.

Wynajęłyśmy dorożkę i pojechałyśmy do Biadolina. Dojeżdżałyśmy do dworca i zobaczyłyśmy ostatnie wagony z odjeżdżającym wojskiem.

Zawiadowca stacji wsadził nas na platformę pociągu towarowego, wtedy pociągi osobowe nie jeździły. W Krakowie do wieczora szukałyśmy daremnie. Już robiło się ciemno. Byłyśmy na końcu ulicy Długiej. Stało kilku mężczyzn. Usłyszałam fragment rozmowy: gen. Mand, nie poprowadzą ich ...

Zapytałam czy wiedzą coś o jeńcach naszych. Dowiedziałam się, że załadowują ich do pociągu daleko od dworca. Ktoś powiedział, że trzeba iść na skróty, to może ich zobaczymy. Poszliśmy, najpierw długi szereg żołnierzy, dalej oficerowie. Już było tak ciemno, że nie rozpoznałabym. Przechodząc wołałam głośno: rotmistrz Winski.. Winski. Już byłam blisko pociągu, gdy ktoś zawołał: „tutaj”. Nie był to Tomasz, ale nieznany mi pułkownik. Gdy podeszłam zapytał, dlaczego nie byłam na stacji w Bochni. Opowiedziałam całą historię. Usłyszałam: „Tomasz już jest w domu”. Gdy nie zobaczył pani na stacji w Bochni na następnej (Podłęże) uciekł z pociągu. Oficerowie zaczęli mi dawać listy, paczki, prosząc, bym wysłała w/g. adresu..

Do Bochni szłyśmy pieszo, na szosie był ruch, wracali uciekinierzy. Rano przyszedłam do domu. Tomasz w cywilnym ubraniu siedział w swoim gabinecie. Nie chciał, by go ktoś ze znajomych zobaczył. Dla wszystkich, nawet dla przyjaciół - poszedł na wojnę i jeszcze nie wrócił. Z domowników była tylko Rysia, Zosia, moja siostra i Andrzejek. Nie wrócili jeszcze z ucieczki mój brat Leon i kuzynka Kazia.

W rozmowie nie poruszaliśmy tego, co było dotychczas, bo jutro nie było nam znane. Zapamiętałam tylko, że Niemcy w uznaniu ich dzielności, zostawili im pasy oficerskie. Uzgodniliśmy, gdzie mam go szukać w Krakowie. Do mojej rodziny nie zgłosi się. Dwie siostry - Julia i Marysia (nazwiska nie pamiętam) na ul. Długiej miały sklepik z nabiałem. U nich się zatrzyma. Wieczorem, jak wędrowiec-uciekinię z plecakiem i zawiniątkiem, w którym było cywilne ubranie jakie pożyczyl od ogrodnika w Podłężu, gdzie uciekl z pociagu.

W najbliższą niedzielę pojechałam do Krakowa. Od Julii dowiedziałam się, że Tomasz mieszka u p. Orszulskich. Znałam dobrze tych dwoje emerytów, mieszkali nad Rudawą w zaciszu. Tomasz czekał, spodziewał się że przyjadę. Musi wyjechać z Krakowa, spotkał parę osób z Bochni, jechał z wózkiem dwukółowym jak tragarz, więc go nie poznali. Nawiązał potrzebne mu kontakty i pojedzie gdzieś w teren, dalej od Bochni, może do Rzeszowa. Niestety nie mogłam przyjechać w następną niedzielę. Otrzymałam list od Julii, pisze że ślub Marysi odbędzie się w innym terminie. Jej narzeczony dostał pracę w Rzeszowie, koło klasztoru Bernardynów - w kościele. Może i Leon mógłby tam pracować.

Leon jeszcze nie wrócił z ucieczki. Pracował w Puławach i nie wiedziałam o nim.

Za kilka dni przyszedł z długiej wędrówki. Zdecydował się pojechać do Rzeszowa i odnaleźć Tomasza. Później pojechała do nich Kazia, nasza kuzynka, była po maturze.



**W Rzeszowie od wrzesień 1939-styczeń 1945 r.**

Tomasz nie mógł zostać w Krakowie, ze względu na bliskość Bochni.

Wiadomość z ogólnikowego życiorysu Tomasza: Podczas okupacji byłem w organizacji AK pod pseudonimem „Radwan”.

W 1944 r. po wkroczeniu Armii Czerwonej 1.VI. zostałem prezydentem miasta Rzeszowa, później wiceprezydentem i ławnikiem do 21 stycznia 1945 r.

21 stycznia 1945 r. zostałem powołany do wojska i wcielony do służby cywilnej, następnie do grupy operacyjnej Krakowsko-Śląskiej z którą przyjechałem do Sopot jako kwatermistrz Centrali Węglowej.

O działalności konspiracyjnej w Rzeszowie też krótko napisał w innym życiorysie.

Dowódca Oddziałów ochrony powstania w Rzeszowie i okolicy. Pseudonim „Radwan”.

Komendant Okręgu pułkownik 24 dywizji piechoty pseudonim „Dembina”.

Działania: szkolenie oddziałów do obrony poszczególnych obiektów na terenie Rzeszowa i okolicy, prowadzenie wywiadu wojskowego w tym rejonie z pomocą tych oddziałów, walka z okupantem”.

Przytoczone „Wspomnienia kuzynki Kazimiery Karnas-Gatuszki zobrazują częściowo sytuację w Rzeszowie.

**Wspomnienia z Rzeszowa. Okres X/1939-II/1945 r.**

Początkowo zamieszkaliśmy u Księdza. Tomasz założył sklep z porcelaną i szkłem przy ul. Matejki 2 w pobliżu kościoła farnego.

Oprócz tego Tomasz był przedstawicielem Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Silesia” z siedzibą w Rzeszowie, oraz firmy „Chemimetal-Erdal” produkującej pastę do obuwia. Porcelaną sprowadzaliśmy z fabryki w Boguchwale koło Rzeszowa, szkło z Huty Szkła w Krośnie. Z biegiem czasu ilość asortymentów powiększała się o naczynia gliniane, kamienne, papierosy i zapalki. Ja byłam sekretarka - pisałam na maszynie listy handlowe, umowy ubezpieczeniowe, oczywiście również ekspedientką, tłumaczką itp. Przez cały w/w okres pracował w sklepie z pełnym zaangażowaniem Leon, który miał niewątpliwie żyłkę handlowca i można powiedzieć, że był faktycznym szefem sprzedaży. Poza tym zatrudniony był personel i księgowa. Tomasz ukrywał się, więc zapuścił wąsy, lecz mimo to został rozpoznany przez Żydów z Bochni, którzy żądali wysokiego okupu za milczenie. Z wiosną 1940 r. przenieśliśmy się na ul. Jagiellońską 3, gdzie zamieszkaliśmy wspólnie z b. płk. Naganowskim i jego rodziną na I p. Syn Oleś N. zginął w Oświęcimiu, a Egon N. żyje, jest literatem. Wiadomość o aresztowaniu Urszuli jesienią 1941 r. przyjęliśmy ze zgrozą. W Bochni przy Gołębiej 1, mieszkała Zosia, Rysia, 2-letni Andrzejek i od czasu do czasu Leon. Ja byłam łącznikiem, dowoziłam zdobytą żywność, za co groziła konfiskata, obóz

*\*13 wozów amunicją, żywnością i lekami – Tomasz z AK wysłał do Warszawy, gdy wybuchło powstanie. – Ruscy to zarekwirowali.*

koncentracyjny lub śmierć. Pamiętam, jak w Wielki Piątek jechałam z szynką na święta w komórcę na węgiel, gdzie mnie schował opłacony maszynista kolejowy. Każdy dzień przynosił z sobą nowe represje; ukazywały się nowe ogłoszenia, informujące czego nie wolno, i nowe listy rozstrzelanych. Na każdej liście było 50 osób. Towarzyszem nieodłącznym było przeżenie i lęk o przetrwanie. Mimo to Polacy pomagali sobie wzajemnie, wieś wspierała miasto i głodu u nas nie było. Mięso kupowałam w drewni, gdzie była jatka dla „swoich”, otwarta tylko na umówiony sygnał. Zdecydowałam się kiedyś zapytać „szefa od siekiery”, w jaki sposób udaje się przewóz wśród tak gęsto rozstawionych patroli. Są dwa sposoby - powiedział - zimowy i letni. Jesienią i zimą, kiedy wcześniej się zciemniało, prosiak w ludzkim przebraniu, z fajką z zębami jechał, jako pacjent opatulony do lekarza, a latem w trumnie, jako umrzyk w zaimprovizowanym pogrzebie z odpowiednimi papierami z parafii. Widziałam, jak Niemcy z reguły grzebali karabinami w półkoszkach. W sytuacjach krytycznych można było, nie zawsze z powodzeniem, ratować się łapówką, która Niemcy nie gardzili. Chleb kartkowy był właściwie gлина, która nie zaspokajała głodu, lecz wywoływała choroby żołądka, nieżyty itp. Trzeba było szukać mąki i piec w domu, lub czasem udało się pokątnie zdobyć dobry chleb, oczywiście bez przydziału. Przy wsiadaniu do pociągu Niemcy szczuli nas psami. Odbierali bagaż i wsadzali pod karabinami na platformę samochodu. Młodszych wywozili na roboty, słabszych do obozów na wyniszczenie i zagładę, lub natychmiastowe rozstrzelanie. Pod koniec okupacji Niemcy rozwścieczeni klęsk-



mi, wpadali do mieszkań, aby sprawdzić, czy nie gotuje się jakieś mięsiwo. Następną lokalizacją sklepu to: ul. Kościuszki 13. Ulica ta była arterią komunikacyjną W-Z, którą przejeżdżały transporty wojska i wszelkiego sprzętu wojennego na front wschodni, górami walczyły eskadry ciężkich bombowców. Poza niemieckimi, widziałam przemarsz oddziałów włoskich, węgierskich, czeskich a nawet kałmuckich. W mieście nie ustawały łapanki. Sama byłam złapana 4 razy, lecz Opatrzność czuwała nade mną. Przy każdej łapance pomocny mi był język niemiecki. Niemcy pytali mnie skąd znam język niemiecki, kiedy odpowiedziałam, że ze szkoły, kręcili z uznaniem głowami. Strzelali do mnie uciekającej, ostatecznie kiedy już nazajutrz miałam bezapelacyjnie jechać na roboty, Partyzanci, nasi obrońcy i Bohaterowie, w nocy wysadzili w powietrze budynek Arbeitsamtu i znowu się uratowałam. Potem powiedział mi Tomasz, że transport ten, w razie niepowodzenia w/w akcji, miał być odbity. Niemcy zajmowali lepsze mieszkania, w związku z tym musieliśmy wynieść się z ul. Jagiellońskiej na boczną ul. Grunwaldzką. Cały czas udawałam że nie wiem i nie widzę, że Tomasz zaangażowany jest w konspirację. Pewnego razu Tomasz zaprosił na obiad 3 kolegów - musiałam się „postawić”, bo czułam, że to ważna wizyta. Niebezpieczeństwo aresztowania Tomka zagrażało w każdej chwili. Konfidenci różnego autoramentu (Volkdeutsche) dziarsko pracowali, aby się przysłużyć wrogowi. Były jednak wcześniejsze sygnały o zbliżających się nowych falach aresztowań, wówczas Tomasz wyjeżdżał na wieś k. Strzyżowa. Pewnego dnia zostaliśmy zatrzymani na ul. Kościuszki przez pijanego oficera SS,

który idąc w naszym kierunku z wyciągniętym pistoletem, wołał „Halt”. Wylegitymował Tomasza i słaniając się przyłożył mu pistolet do skroni, Tomaszowi z przerażenia odwróciły się oczy tak, że widziałam same białka. Szepnęłam „nie bój się”. Szwab wymachiwał Tomaszowi pistoletem przed nosem mówiąc: „machen sie keine Dumkeiten”, To był wstrząsający widok. Kiedy Szwab opuścił pistolet, czuliśmy się zwolnieni, więc szliśmy prosto ul. Grunwaldzką, sparaliżowani strachem, baliśmy się przemówić do siebie, spodziewaliśmy się, że będzie strzelał w plecy. Po powrocie do domu, Tomasz dostał ataku apopleksji, paraliż lewej strony. Lekarz, lód, pijawki, czuwanie. Szczęście dopisało, serce wytrzymało. Po dwóch miesiącach leczenia Tomasz, już nie ten sam, zmieniony, wrócił do zdrowia, ale zalecenie lekarza, aby zwolnić tzw. obroty i co miesiąc pijawki, było nadal obowiązujące. Dla ścisłości jeszcze dodam, że raz w tygodniu, a był to piątek, obowiązywała głodówka, a dla wzmocnienia serca glukozę, wolno mu było jeść tylko same gruszki, cały dzień. Przyszedł i na mnie czas, kiedy było mi dane złożyć przysięgę na pistolecie i krzyżu. Moje zaangażowanie polegało na lepieniu dla partyzantów - ruskich pierogów. W celu sparaliżowania transportów wojsk na wschód, Rusczy bombardowali często szlaki komunikacyjne, mosty itp. Znowu odebrałam sygnał: „Będą aresztowania”. Pamiętam, jak jechałam do Tomka na wieś z ulubionym kruchym plackiem i pijawkami, aby mu gosposia postawiła, bo właśnie nadszedł termin, ale bilet kolejowy wykupiłam na 2 stacje dalej, aby w razie śledzenia mnie, nie zdradzić kryjówki. Zimą wracali żołnierze niemieccy po klęsce pod Sta-

lingradem. Do nas zapukali w nocy i bez słowa weszło ich chyba ze 20-tu. Położyli się pokotem na podłodze w całym mieszkaniu, rano również milcząc, nie rozmawiali też między sobą, opuścili mieszkanie. Wyglądali strasznie. Ale oto kolejne wyrzucenie z mieszkania, tym razem na peryferia, obok torów kolejowych. Transportem zajmowałam się sama. Tomasz miał ważniejsze sprawy na głowie. W lipcu 1944 r. zbliżał się front, w końcu po blisko 3-ch dniach ostrych walk o Rzeszów, wkroczyli Ruscy. Cały czas, dzień i noc siedzieliśmy w piwnicy, gdyż Ruscy nie żałowali katusz, a każda następna mogła się dla nas okazać ostatnią przed śmiercią pod gruzami. Głodu, pragnienia i strachu nie znosiły dzieci, którym zdecydowałam się przyczołgać z kuchni wiktuały i usmażyć pod kulami w suterenie naleśniki. Wszyscy modliliśmy się chórem prosząc Boga o zmiłowanie. Kiedy strzelanina ustała i wygrzebałam się nieprzytomna z przerażenia z piwnicy, stwierdziłam nagle zniknięcie Tomasza, oraz, że z naszego mieszkania pozostało wspomnienie. Odważyłam się pójść do miasta, gdzie mnie p. Harasiewicz, ojciec Adama, poinformował, że Tomasz, jako prezydent Rzeszowa, wywiesił na Ratuszu polską flagę, wtedy zrozumiałam, dlaczego Tomasz zniknął. Na ulicach zauważyłam pierwsze polskie zarządzenia z podpisem „Tomasz Radwan”. W Ratuszu widziałam, jak Tomasz debatował z ruską generalicją, która w końcu postawiła warunki: PPR, kryminal lub front.

*\*Ofensywa styczniowa 1945: Tomasz z grupą operacyjną wyjechał na front.*



### Po wojnie

15 maja 1945 r. wróciłam z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Przyjechałam do Bochni. Była godzina policyjna i trzeba było czekać na dworcu kolejowym. Widziałam wiele osób znajomych. Nikt mnie nie poznał. Odnalazłam moją rodzinę. Nie wiedziałam, że po moim aresztowaniu wyrzucono ich z naszego mieszkania. Mieszkali w Rynku u państwa Klimków. W mieszkaniu byli: Leon i Zosia, moje rodzeństwo i dzieci: Rysia i Andrzejek. Spał w tym samym łóżeczku, kiedy go żegnałam. On nie wierzył, że jestem jego matką. Pani nie jest podobna do mamy z portretu! Kiedy mu pokazałam jego fotografię, tę którą jako widokówkę z powinszowaniem imienin posłali mi do obozu, uwierzył. Rzucił mi się na szyję i powiedział: „Już mi nic do szczęścia nie brakuje“.

O Tomaszu dowiedziałam się, że jest na Wybrzeżu. Rysia wysłała depezę do Ojca i Tomasz na drugi dzień przyjechał.

Nie zapomnę tego naszego pierwszego spotkania.

Tomasz ze śladami na lewym policzku po paraliżu, powłóczywszy lewą nogą, aktualnie chory na żołądek wyglądał jak cień mego męża. Ja po czterech latach lagru byłam jak szkielet ludzki powleczonej skórą. Patrzyliśmy na siebie jak obcy ludzie. Oboje nie mieliśmy siły na czulsze przywitanie.

Ani słowem nie wspomnieliśmy o przeszłości. Przed nami była decyzja, jak zorganizować przyszłość. Po rozmowie zdecydowaliśmy, że przeniesiemy się do Sopot. Tam Tomasz miał zarezerwowany domek blisko morza, na ulicy Badestrass 7 -dziś Morska 7.

Leon miał pojechać z Tomaszem. Ponieważ on wymagał opieki i mieli przygotować mieszkanie. Na mnie spadła likwidacja Bochni i Rzeszowa.

Państwo Klimkowie z zadowoleniem przyjęli moją prośbę, by nasze rzeczy zostały w ich mieszkaniu. To chroniło ich przed dokwaterowaniem kogoś. Andrzejek, który ze względów zdrowotnych w domu z Leonem przerabiał pierwszą klasę zdał egzamin i przez 2 tygodnie uczęszczał do szkoły, aby zetknąć się z dyscypliną i atmosferą szkoły.

Gorzej było z Rzeszowem. Tam były do zlikwidowania mieszkanie i sklep.

Gdy Tomasz został komisarycznym prezydentem Rzeszowa, po uzgodnieniu z odpowiednim czynnikiem, otrzymał odpowiednie mieszkanie. Sprowadził do siebie czteroosobową rodzinę p. Harasiewicza. Pan Harasiewicz, polonista, przed wojną wizytator szkolny w czasie okupacji niemieckiej zajmował się handlem i zaprzyjaźnił się z Tomaszem. Sprawa mieszkania była rozwiązana, a pan Harasiewicz pomagał w zlikwidowaniu sklepu.

#### Wiadomości od lekarza w Rzeszowie lipiec 1945 r.

Pan Harasiewicz telefonicznie umówił mnie na spotkanie z lekarzem, który opiekował się Tomaszem w czasie jego choroby (paraliż lewego boku). Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska lekarza. Dowiedziałam się, że w dniu, w którym nastąpił paraliż Tomasz przeżył dwa nerwowe szoki.

Był wezwany do Landrata i tam w poczekalni przez okno zobaczył jak dwóch gestapowców prowadziło jego zastępcę, nie

wiedział po co go wezwano. Nie mógł wyjść z lokalu. Okazało się, że Landrat zażądał od niego szkła i porcelany ponieważ Tomasz miał sklep. W tym samym dniu, gdy Tomasz wracał do mieszkania, pijany oficer niemiecki groził mu rewolwerem o czym szerzej pisze Kazia (kuzynka). Tomasz był kilka tygodni w szpitalu bez zameldowania o czym wiedziała tylko siostra przełożona pielęgniarek. Lekarz polecił mu wyjazd na wieś o czym również pisze Kazia.

Drugi raz, powiedział lekarz, spotkałem pana Radwana już jako prezydenta Rzeszowa. Przyszedł późnym wieczorem i prosił o pomoc. Był bardzo zdenerwowany i powiedział lekarzowi, że spotkał swego kolegę ze Szkoły Oficerskiej w Moskwie, na szczęście ten go nie poznał. Gdyby go poznał, Tomaszowi groził sąd polowy, co było jednoznaczne z wyrokiem śmierci.

Lekarz napisał i polecił Tomaszowi, by ograniczył pracę, więcej wypoczywał, gdyż może się powtórzyć atak. „Zdaje się, że pan Radwan to wykorzystał, gdyż wkrótce pojawiły się ogłoszenia z podpisem prezydenta Ślusarczyka. Tomasz został wiceprezydentem.

Lekarz już nie miał z Tomaszem żadnych kontaktów osobistych, natomiast opowiedział o wydarzeniu, o którym Kazia tylko wspomina.

Kiedy wybuchło Powstanie warszawskie Tomasz zarządził zbiórki dla powstańców. Zebrano kilkanaście wozów z żywnością, lekami i amunicją. Miały być przeładowane do wagonów kolejowych i wysłane do Warszawy. Sowieci zarekwirowali to wszystko.



1117126

Tomasz nie działał konspiracyjnie, wszystko działo się otwarcie. Wtedy nikt prócz generałów sowieckich nie znał strategicznego planu Sowietów. Tomasz logicznie myślał, uważał, że walczymy ze wspólnym wrogiem Niemcami i trzeba pomóc powstańcom. Tym czasem jak się później okazało, bolszewicy czekali aż się Warszawa wykrwawi i dopiero wysłał wojsko. Szybko rozeszła się wiadomość, że doszło do ostrej wymiany zdań między Tomaszem a generalicją. Gdy później Tomasz zniknął z Rzeszowa lekarz sądził, że stało się to, czego się Tomasz obawiał, to jest Sąd Polowy. Kazia wspomina, że Tomasz w 1945 r. wyjechał na front.

Nie znajduję odpowiedzi, za co Tomasa wysłano do wojska, czy za pomoc dla W-wy, przygotowaną przez A.K. w Rzeszowie? Czy odkryto coś z jego przeszłości. Pozostanie to dla mnie tajemnicą.

Usłyszałam od lekarza wiele ciepłych słów o Tomasz, a na moje zapytanie o stan zdrowia męża, powiedział krótko: „W warunkach spokojnych, bezstresowych może żyć 10-12 lat. Potem przyjdzie drugi atak już śmiertelny.

#### W Sopocie od sierpnia 1945 roku

Wyjechałam z Bochni z Andrzejkiem i gosposią. Nie było wtedy bezpośredniego pociągu do Gdyni. Czekaliśmy na połączenie w Piotrkowie Trybunalskim. Tam wydarzyło się coś, co do dzisiaj tkwi w mojej pamięci.

Spotkałam swoją uczennicę sprzed lat, jeszcze ze Seminarium Nauczycielskiego w Bochni. Pamiętałam ją. Po wymianie kilku zdań o mojej osobie, zapytałam co u niej? Odpowiedziała, że

jej się bardzo dobrze powodzi, handluje skórami. Ale jakby nagle coś w niej drgnęło. W tonie prośby powiedziała, Pani profesor, ja mam dużo pieniędzy, proszę przyjąć ode mnie. Ja nie potrzebowałam pieniędzy, ponieważ sprzedalam w Bochni naszą sypialnię. Wtedy usłyszałam, „Pani pewnie mną pogardza”! Zaprzeczyłam, a ona z jeszcze większą pokorą prosiła, bym wzięła i dała tym „którzy potrzebują”. Nie zareagowałam gdy do mojej torby włożyła paczuszkę z banknotami zawiniętą w gazetę. Już w pociągu Andrzejek zapytał, dlaczego pogardzam tą panią? Nie pogardzam nikim.

A ta pani to moja uczennica. Uczyłam ją języka polskiego. Często na lekcjach ocenialiśmy postawę bohaterów. Pozytywnie tych którzy poświęcali swoje życie dla Ojczyzny, czy innych ludzi, a negatywnie tych, którzy dbali tylko o swoje sprawy. Ona sobie pewnie uświadomiła, że ja byłam więziona przez Niemców, cierpiałam, a ona z nimi handlowała.

Chciała się zrehabilitować i dała mi pieniądze dla tych, którzy potrzebują pomocy. Wydawało mi się, że Andrzejek to zrozumiał. On też miał swoje przeżycia okupacyjne.

Na dworcu w Sopocie czekali Tomasz i Leon. Było dużo radości, że już będziemy razem.

Mężczyźni już pracowali: Tomasz w Centrali Węglowej we Wrzeszczu, a Leon prowadził skład węglowy w Oliwie. Mimo ich sprzeciwu i ja zgłosiłam się do pracy. Otrzymałam pracę polonistki w Gimnazjum Krawieckim w Sopocie.

Pierwszego września mieliśmy rozpocząć nauczanie. Nie było ani programów, ani podręczników.

Jeśli uświadomimy sobie, że przez całą okupację niemiecką nie było szkół średnich, to lepiej można zrozumieć te nowe trudności.

Już na szczęście działał na Wybrzeżu Z.N.P. W swoim Związku szukali nauczyciele pomocy. Powstała swoista pomoc koleżeń- ska. Tworzyły się zespoły przedmiotowe, nauczyciele dzielili się wiedzą, doświadczeniem dydaktycznym. Ja pracowałam w grupie polonistów szkół zawodowych.

Kiedy teraz piszę o tym, to z perspektywy czasu doceniam to poczucie odpowiedzialności zawodowej, zapał, patriotyzm. Nie było wtedy jeszcze nadzoru politycznego, a do doktrynacji ideologicznej góra, czyli władze centralne dopiero się przy- gotowywały.

Jakich mielibyśmy dzisiaj obywateli, jakich nauczycieli, ja- ką młodzież gdyby nie zatruwano wtedy umysłów i charakterów uczniów tą zbrodniczą „papką” komunistyczną.

Wprawdzie byli nauczyciele, którzy z narażeniem się na utra- tę pracy wykorzystywali każdą możliwą sytuacją, by chronić młodzież ukazując wartości moralne i narodowe, ale to była przysłowiowa „kropla”.

Piszę o Tomaszu, a nasuwają się gwałtownie inne doświadcze- nia. Nic dziwnego, w tym czasie wszystko było wymieszane w zbrodniczym „tyglu” komunistycznym.

#### Rok 1950

Pracowałam w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym Szkół Zawodo- wych w Gdańsku.



Od kolegi, który był przewodniczącym Z.O.Z-u (Związkowa Organizacja Zawodowa) dowiedziałam się, że przyjechał ktoś z CUSZ-u (Centralny Urząd Szkolnictwa Zawodowego) z Warszawy i pytał czy jestem żoną oficera Wojska Polskiego. Usłyszał w odpowiedzi „Była ale jest po rozwodzie”.

Przyjęłam to z humorem, jak kawał polityczny.

Choć w domu nie mówiliśmy o swoich sprawach zawodowych, opowiedziałam o tym Tomaszowi. A on nie roześmiał się, jak liczyłam, tylko poważnie zapytał, czy nie proponowano mi wstąpienie do partii?

Nikt mi nigdy nie proponował. Jemu zaproponowali, gdy odmówił, że stanowiska kierownika przesunęli go na stanowisko referenta. Już nie będzie uczestniczył w zebraniach kierowników wydziałów. Właśnie o to chodziło dyrektorowi, gdyż krytycznie odnosił się do wielu zarządzeń. Pamiętam okrucy tej rozmowy: Nie słyszał słowa Polska, tylko Związek Radziecki w różnych przypadkach. Komuniści traktują Polskę jak swój folwark, że boi się i nie chciałby doczekać tego, kiedy komuniści poproszą, by Stalin włączył Polskę do Republik Radzieckich. Pomyślałam wtedy, że Tomasz po swoich doświadczeniach widzi wszystko ostrzej.

Niedługo sama się przekonałam, że w tym ustroju nie wolno krytykować. Byłam pracownikiem kontraktowym w Wyższej Szkole Pedagogicznej we Wrzeszczu. Na jednym z „mityngów” to jest zebraniu grona profesorów i studentów, ówczesny rektor mgr Czarnecki mówił o posłuszeństwie wobec władzy.

Jako przykład podał: „Jeśli poloniście każą uczyć astronomii, nie może odmówić”. Tego nie wytrzymałam i krytycznie

odniosłam się do takiego pouczenia, zostałam wyrzucona z Uczelni.

Niestety już nie mogłam tego opowiedzieć Tomaszowi.

**28 lutego 1952 r.**

Na obiad nie przyjechali Tomasz i brat. Pomyślałam, że gdzieś poszli na „śledzika”. To był wtorek przed Popielcem. Późnym popołudniem był telefon z wiadomością, że pan Radwan-  
Winski jest w Akademii Medycznej w Gdańsku, na neurologii. Gdy zapytałam, co się stało, odpowiadano, że przez telefon nie mogą informować. Dowiem się na miejscu, zostawiłam wiadomość dla brata i pojechałam do Gdańska. Tomasz leżał w se-  
paratce. Był całkowicie sparaliżowany. Dolna szczęka opadła, a wysoka temperatura sprawiła, że był na twarzy ciemny.

Poprosiłam siostrę, by mi dała coś do zwilżenia ust, choć nie było żadnej reakcji, robiłam to stale.

Przyjechał Leon. Zobaczył stan Tomasza i przywiózł Rysię i Andrzeja, by pożegnali ojca. Sam też poszedł szukać księdza, by udzielił Tomaszowi ostatniego namaszczenia.

Zostałam sama z Tomaszem. Gdy siostra zapaliła świecę, wiedziała, że zbliża się koniec. Uklękłam przy łóżku, tuż przy twarzy Tomasza i modliłam się. Wtedy stało się coś, czego do dzisiaj nie mogę zapomnieć. Twarz zajaśniała piękną białoróżową cerą. Szczęka się uniosła i zjawił się radosny uśmiech. Trwało to ułamek sekundy i Tomasz wydał ostatnie tchnienie.

Gdy Leon przyszedł, bez księdza, Tomasz już nie żył.

Na drugi dzień przyszedł do mnie pracownik Centrali, przyniósł jakieś pieniądze. Zapytałam go, jak to się stało z mężem. „To miało miejsce w gabinecie dyrektora. Było słycać podniesione głosy - wybiegł dyrektor i kazał wezwać pogotowie”. Wtedy dopiero przypomniałam sobie słowa lekarza z Rzeszowa: „W dobrych warunkach, bez stresów i zdenerwowania może żyć 10-12 lat, potem przyjdzie drugi atak - już śmiertelny”.

Tomasz żył 59 lat.

Pochowany w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Komunalnym w Sopotcie.

Na tym można by zakończyć. Jednak nasuwa się potrzeba pewnej syntezy i wyjaśnień.

Tomasz był żołnierzem „z krwi i kości”. Jego przodkowie, Wincsy herbu Lubicz brali udział w bitwie wiedeńskiej pod wodzą Jana Sobieskiego, notowani w chorągwi podlasko-wołyńskiej.

Gorący patriotyzm wyniósł z domu rodzinnego, a ściślej z opowiadań Teofila Kulczyckiego, herbu „Sas”, powstańca z 1863 r. i długoletniego zesłańca z Sybiru.

Tomasz był otwarty na ludzi i wrażliwy na potrzeby człowieka. Znamienną cechą w życiorysie Tomasza są Jego ucieczki, ale nie ucieczki przed czymś, czy przed kimś, lecz ucieczki do czegoś.

Pierwsza ucieczka z domu do szkoły, do nauki, wbrew woli ojca. Następnie już po ciężkich przeżyciach na zesłaniu - w r. 1917 po wybuchu rewolucji bolszewickiej - z Moskwy, ze Szko-



ły Oficerskiej w przebraniu ucieka aż na Ukrainę, by w wojsku Polskim walczyć z bolszewikami.

Wreszcie ucieczka do Polski i tu też w 1920 roku bierze udział w wojnie z bolszewikami, zostaje odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

**Rok 1939** - trzeciego września, według relacji porucznika Wnęka 3 Dywizjonu Taborów, Tomasz, kiedy rzekomo dla celów strategicznych, wojsko zdążyło na wschód - na swoim koniu zameldował dowódcy, pułk. Skoczyłowski: „W lasach Janowskich walczy pułk kawalerii, jestem żołnierzem, melduję się do walki”. Nie czekał na odpowiedź, zaciął konia i pojechał.

Walczył z Niemcami, wzięty do niewoli z grupą oficerów, uciekł z pociągu wiozącego ich do oflagu.

Nawiązał, już we Wrześniu kontakt z organizacją WZ - później A.K. w Krakowie i został delegowany do pracy w Rzeszowie.

W kontekście zestawionych ucieczek Tomasza, które były ucieczkami „do czegoś” powstało we mnie przekonanie, że Jego śmierć też była ucieczką od rzeczywistości, której nie mógł zaakceptować - do wiecznej szczęśliwości.

Tomasz włączył swój pseudonim „Radwan” do swego nazwiska rodzowego, nosił go śp. syn Andrzej, nosi wnuk Tomasz i prawnuk Andrzej.

Ja nie mogłam. Należeliśmy z Tomaszem do A.K. Pracowaliśmy w innych miejscowościach i na innych płaszczyznach, nie mówiliśmy o tym ze sobą. Moje mieszkanie w Bochni była miejscem kontaktów konspiracyjnych.

Łączniczki znały mój adres i nazwisko, nie miałam pseudonimu a nie mogłam podszywać się pod pseudonim męża. Tomasz to rozumiał.

Mam świadomość niedostatków w mojej relacji o Tomaszu. Zbyt późno uświadomiłam sobie, że przyszli członkowie rodziny Radwan-Wińskich powinni znać historię swego dwuczłonowego nazwiska i znaczenie przydomku „Radwan”, co on symbolizuje i do czego zobowiązuje.

*Urszula Wińska*  
Urszula Wińska

Sopot, ul.

Sopot, 20 lutego 2001 rok.



- III/2 - Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939r.  
- list Urszuli Wińskiej do prof. E. Zardackiej opisujące  
pamięć i sytuację przed rokiem 1939!  
Rhp. Kserokopia, k. 5, s. 1-6.





Wpłynęło dnia 30.07.99 "15  
Atynęła 28<sup>ty</sup> 9  
L. dz. 1554 Wsk: 109 III/2/1  
Drużba: Łacna Gau Blzbieta !

Dziękuję za książkę przekazaną mi przez  
p. Ciesielską.

Pięknie i bardzo cennie jest jubileuszowe, to  
czytałem je kilka razy, nie tylko przez moją  
słabą już pamięć (97l.) ale i mesurującą się  
moją wspomnienie i refleksję.

Pochyłam głowę przed tym, co Pani dokonała,  
przed Pani miastem, wsią, wsią, wsią,  
wsią, a także przed wielką konse-  
kencją i uporem z jakim Pani dążyła i  
dąży do realizacji swoich planów.

Próbowałam refleksje, jakie się mesurują do  
fakt, że nasze pokolenie, niezależnie  
od zabur, w których przyszło nam żyć,  
miało genetycznie zakodowaną „straszną  
Polskę”. —

Pochyłam z Małopolski, dawniej Galicji, pa-  
miętałem sobie austriacki i „briols galicyj-  
ska”.

Jak Pani ukosztowała PWN - tak mnie  
kierowało. Stale istniało do tejnej obywateli  
kierowniczej pr. Przemysłu i promocyjny

zestęp w Gynorsie, moim miasteczku <sup>III/2/2</sup>  
rodzinnym, o tradycjach historycznych  
początku XII wieku, gdy było grodem warownym,  
ale miasteczko już b. biednym i bez szkoły  
szkolnej.

Najsz. pierwszy publiczny występ harcerski  
uczestniczyłem w zorganizowaniu na rynku  
zobowiązani austriackich w listopadzie 1918 r.  
i ogłoszeniu Wolnej Polski!

Na ideach harcerskich: "Siłeczka" i karta-  
torstwa "nasz mój i Strzeba Polska",  
na Uniwersytecie Jagiellońskim ukończyłem  
polskojęzyczny, trzyletni kurs doktorski  
u prof. Ignacego Chrząstowskiego, pracując  
równocześnie jako psychosomatyk w Insty-  
tucie dla oświecenia, "Instytutu Polak".

W 1926/7 rozpocząłem pracę w Seminarium  
Naukowo-dydaktycznym w Rypnie. Miasteczko  
pomiędzy, o 3 km. od centrum Kąpieliska  
była tam prawnicza "Orka na ugonie".

Mogłem jej podobać przez 3 lata, dzięki me-  
tułom harcerskim.

W 1930/31 przeniósłem się do Pucka i  
pracowałem w Pucku, Semin. Naukowo-dydaktycznym



III, 2/311

Szkola miała wysokie, wcale nie kuratorskie.  
Dyrektora prof. Henryk Topala, polonista ze zna-  
nymi słobolienicami naukowymi, radcom Akademii  
Umiejętności, miał wiele zębów najlepszego przy-  
gotowania i psychosocjalnie młodzi. - Popierał  
inicjatywę pedagogiczną i dydaktyczną.  
Oprócz jęz. polskiego weryfikacji dydaktyki naukowej.  
Najbliższy do dyspozycji szkoły, rozprawy w miesiąc,  
zaproposowane 2 tygodnie po rozpoczęciu roku (I-II)  
praktyki w szkole wiejskiej. - Dyrektor wyobrażał  
sobie to pozostało niezrealizowane i w rzeczywistości  
rozpracował materiały, - Inicjatywę przygotowania  
liczmy młodzi wiejskiej.  
Należało do Zarządu Pracy Obywatelskiej  
Kobiet (ZPOK), na którego czele stała p. Absi-  
-ciska, żona Prezydenta RP. -  
Dowiedzieliśmy się, że porządki wolałyby  
ZPOK mogły dysponować chociaż małą liczbą  
- wielkimi: gospodarstwa domowego i Krosz  
i sąciami dla organizowania na polu  
kursów dla gospodyń. - Dobre kontakty ze  
psychologami powstały na polu tej akcji.  
Widać jednak że miała powagę i dla powolnie-  
siemnie kultury życia wiejskiego, wykorzystywane  
wszystkie możliwości: decznie z wystawą w Realu  
Porządkiem - prac. usiłując: Gospodyń wiejskich,  
W 1932 r., wyszła zeszła na ostatniemu KOP



i automatycznie stałem się członkiem  
 Ruchu Wychowawczego. Stosunkowo o charakterze  
 formacji kulturalnych, bez ściśle-  
 zorganizowanych.

Do kilku lat, jedno psychologiczne, a miało być  
 obracające się, jakieś przedmiotowe, pro-  
 „decyduje o jakości” „organizacji”. Ktoś  
 zastąpił. Przewodniczącym, R. L., -

Wspominałem o tym, by wyjechać, maj. przedmiot z  
 PWR. Współorganizatorami z instruktorami PWR  
 z Krakowa kursy samowolnych pracowników  
 gazowej, z wyjątkiem miejsc i ratowników  
 w R. L., IBOK, w grupie, merytorycznie  
 „właściwie” „organizacji”, - Nie należałem  
 do PWR. - Był to rok 1939, -

Wspominałem o tym, H. i H. Kasilewskich -  
 z m. i. z Uniwersytetu. -

Właśnie była w Rewalskich, Przemysłu  
 po powrocie, była bardzo krótka. - Spotkałem  
 myślenie, pominięcie, organizacja  
 sposób „organizacji”, „organizacji” dla obrony przy  
 likwidacji, płuc. Byłem tymczasem  
 Polki w tym między innymi. Właśnie  
 były zorganizowane, posiadające

strany sluchovej. Byla tajna Druziemu  
 Horcensko „Dury“ provozovane pored  
 karmistynym Jozeff Kauton si Sleska,  
 mi Kresilewskie jeho puth. A. K. Kolotatka  
 zebrael zielne piethy. Hostatka mym  
 - zione do povoloban faboryarnego.  
 Uly kmeta Pam Denis Tomcaakosone, neu-  
 prycilke ze Sleska, byla pernekake, anesto-  
 zeme p vretovie. Kuparygizimibymy su-  
 me choutelupich. Hostatka p prizivim, galy  
 omni pyroizicione do Kuzensbrid.  
 W 1943, pryzicione do oboru Amry,  
 Bortnowsky p ruzivim p Berlinske nu  
 Aleksandroploze. Valszuka omni i pre-  
 - kazatka pricelomosci pob Amry i z ktory  
 byla p rali, - Amry aresatoranu p  
 porizgu do Berlina p materibatem,  
 chate mytal smirel i zekatu (100 dni)  
 na jegu pruzivimomem. Vleozhly ze  
 mytaku mi zekazis mykonad. Berlinske  
 byt mytal jini bombelozemny,  
 90 vojine napisatem propomnimu  
 v Amry. Prositam Kol. ova chiecyta  
 Dobrovolsky z NSP p Kautovochy



11/26 11110

by je volazytela na jatkach zlozenus  
mrazyci. - Kiedy porazytela na  
kvarcu seli volazet sis kros. - "Aerit  
kijje" - miestety kol. Dobrowolska, o to erans  
pory stole mauer, mi mogte sy' skon-  
takturowa, em' napytat, - a ci Pien' ras  
oni o Aerit?

Aerit Papi, ni Pien' moze tek nitec synni  
porazowci. Ye jui miestety wal kilku lat  
mi rychwaly z obom. -

Pemistec, se wstatni was spotkaly emy sy'  
re Sopociu papertku.

Bylyby Pien' byle w tyu roku re Sopociu  
i zachwila mmi polowalrici, mogtybyem  
porozmowit' jaszce o jinych sprawni,  
yma pistor, z trawlem i peromimiazow?  
- nie.

Serdecni Pienis pozobruwam  
i jicem dal siej wrueny  
pracy.

M. Kinska

81-464 Sopoc

tel.



- Wspomnienie u. Wińskiej o Marii Tomczak, nauczycielce w Katowicach, Sopot 1968, mps (oryg.), k. 6, s. 1-6



Z przeżyć więziennych na Montelupich

/Wspomnienie o Marii Tomczak, nauczycielce w Katowicach/

/1901 - 1971/

Przesłuchanie w Krakowie "na Gestapo" przy ul. Pomorskiej trwało bez przerwy ponad sześć godzin. Tam otrzymałam odpowiedź na dręczące mnie całą drogę pytanie? Za co jestem aresztowana?

"Wsypa" była dokładna. Data i godzina przyjazdu kurierki z Krakowa, ilość i tytuły gazetek zostawionych w paczce, wszystko było już znane. Zostało do wykrycia następane ogniwo; kto odebrał ode mnie paczkę? Bez tego nie można było dojść do dalszych, a mianowicie - kto roznosił prasę? I jeszcze dalszych ogniw - kto ją czytał? W ten sposób prowadząc śledztwo zamykali oprawcy cały łańcuch tego typu przestępców.

Wystarczyło przejść przez ten pierwszy "etap", by dotychczasowe pojęcia o metodach zbrodniarzy hitlerowskich wydały się dziecinnie naiwne. Nietrudno wyobrazić sobie, iż gestapowcy mając w ręce ogniwo środkowe, chcieli bezwzględnie zdobyć dalsze. Ja zaś, nawet za cenę życia, nie mogłam im tego zdradzić. Kiedy zmaltretowaną przewieziono mnie do więzienia na Montelupich, w świadomości pozostały już tylko dwie sprawy; nie wydałam nikogo i przesłuchanie jeszcze nie skończone.

W sali nr 52 do której mnie wtrącono, było już 18 kobiet. W tym 4 nauczycielki. Dziś, kiedy sięgam pamięcią tamtych czasów, żywa fala wspomnień każe mi pisać o tych koleżankach, których już nie ma wśród żyjących. Ich bohaterska postawa, służba na posterunku do ostatniego momentu życia - godna jest



najlepszego pióra. Zyczliwość, z jaką przyjęto mnie na wspólną pryczę, pomoc okazana w pierwszych chwilach, dyskrecja, spokój i porządek panujący w celi pomogły mi bardzo w odzyskaniu świadomości i sił fizycznych.

Już po kilkugodzinnym pobycie w celi zorientowałam się, że autorytetem wśród więźniarek jest brunetka o czarnych oczach, których spojrzenie miłe, lecz badawcze - uderzało człowieka. Była to Maria Tomczakówna, komendantka sali. Potrafiła ona w ramach regulaminu więziennego stworzyć drugi regulamin o celach patriotyczno-pedagogicznych.

Tomczakówna<sup>1/</sup>, przed wojną nauczycielka Szkoły Powszechnej im. J. Piłsudskiego przy ul. Jagiellońskiej 18 w Katowicach, zamieszkała w czasie okupacji w Krakowie. Jako główny łącznik między konspiracyjną organizacją Polaków na Śląsku a podziemiem w Generalnym Gubernatorstwie została aresztowana w najbardziej klasyczny dla gestapowców sposób przez podstawienie prowokatora. Już była pół roku w więzieniu, gdy ją poznałam w celi. Miała wtedy za sobą kilkanaście przesłuchań i szereg konfrontacji. Wszystko bez pożądanego dla gestapowców efektu. Bogate doświadczenie "kryminalne" dało tej niezwykle inteligentnej nauczycielce broń przeciw oprawcom. Wykorzystała ją umiejętnie nie tylko w swojej sprawie. Maria jak wytrawny adwokat - "prowadziła" sprawy wszystkich współwięźniarek.

Z podziwem patrzyłam na jej płonące oczy, gdy w kącie swojej "pryczy" coś kombinowała i szeptem instruowała towarzyski, które spodziewały się przesłuchania. Moją sprawę oceniła jako poważną. Radziła być w pogotowiu - szczególnie w nocy. Każde odejście więźniarek na przesłuchanie na Pomorską

---

1/ ur. Łódź 1901



wspólnie przeżywało się w celi. Dla Marii jednak wszystkie sprawy były jej własnymi, patriotycznymi sprawami. Świadoma ich wagi przeżywała je silniej, niż reszta więźniarek.

Moją obecność w celi przyjęła z radością. Ciężar narastających i wikłających się "spraw", ciągłe przesłuchiwanie w dzień i w nocy wymagały od niej wielkiego skupienia i intensywnej pracy. Cierpiał na tym drugi odcinek: kulturalno-wychowawczy, który Myria uważała za bardzo ważny w przygotowaniu więźniarek do właściwej postawy w Gestapo i więzieniu. Dzięki temu nie było przez cały czas mego pobytu w celi "wsypy".

Pozostałe nauczycielki: Marysia Kuśmierz, Janka Śliwianka, Rena Wicińska mogły być wciągnięte jedynie do pomocy. Obciążone również poważnymi "przestępstwami" /organizacja wojskowa - propaganda../ żyły w ciągłym napięciu nerwowym. Bite często w czasie przesłuchania /Marysia Kuśmierz/, wożone na konfrontacje do innych więzień /Janka Śliwianka/ były nieraz przez kilka tygodni nieobecne w celi. Biedne Marysia i Rena po wywiezieniu do Oświęcimia - nie wróciły do życia.

Zadanie, które powierzyła mi Maria, nie było łatwe. Podjęłam się odrywać na kilka godzin dziennie uwagę współtowarzyszek od ich "spraw" i tęsknot rodzinnych, choć sama byłam jeszcze wewnętrznie "rozbita". Obraz mego dwu i półrocznego synka, którego nawet nie pożegnałam pocałunkiem, gdy mię zabrano, bolesną tęsknotą ranił moje serce. Nocami w chwilach regulaminowego /wewnętrznego/ milczenia układałam plany i szukałam w pamięci treści, które mogły być dla nas pomocne. Twórczość Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego: wiersze Kopernickiej i Kasprowicza, powieści naszych i obcych klasyków były dla mnie wtedy nieocenionym źródłem siły duchowej. Dyskusje na różne tematy: psychologiczne i patriotyczne, gos-

podarskie i etyczne, kulturalne i estetyczne - czyniły dzień krótszym, a dając myślom pożywkę, chroniły przed niepotrzebnym rozpamiętywaniem.

Wśród tych zajęć pedagogicznych czas mijał szybko - a życie więzienne, bogate w silne emocje, usunęło z mojej świadomości grozę przesłuchania. Praca nad wykreśleniem z pamięci nazwiska ucznia X z Chodemic - udała się. Nie mogę i teraz odtworzyć go. Silnego wstrząsu doznałam, gdy jednej nocy wprowadzono do nas "Zuganga" /nową więźniarkę/. W świetle korytarzowej lampy, której blask padał na głowę wchodzącej w drzwi celi nowej naszej towarzyszkii - ujrzałam znajomą twarz. Nowo-przybyła kobieta ułożyła się cicho na wskazanym jej przez dozorczynię legowisku - a ja szukałam w pamięci okoliczności, w której poznałam tę osobę?

Z przerażeniem uświadomiłam sobie - że jest to jedna z kurierek, która dwukrotnie przywiozła do mnie prasę. Długa i męcząca była ta noc. Rano - choć było to niezgodne ze zwyczajami panującymi w celi, wprowadzonymi przez Marię, podeszłam do nieznajomej i zapytałam, czy była w Bochni. Patrząc mi wymownie w oczy oświadczyła stanowczo: "nigdy tam nie byłam". Utwierdzam się w moim przypuszczeniu, ale równocześnie uspokoiła mnie postawa, jak się później dowiedziałam, Józefy Rzeźnik z Krakowa.

Poważną refleksję nad własną "sprawą" wywołał wtedy dziwny dla mnie fakt. Już w pierwszym dniu pobytu w celi koleżanka Rzeźnik otrzymała przy rozdziale żywności z Czerwonego Krzyża puszkę z Owomaltiną. Wręczył ją - wywołując osobiście Józefę Rzeźnik - J. Cyrankiewicz, /późniejszy premier/. Znałyśmy już dobrze tego więźnia. Nosił często "kany" z jedzeniem, do którego ustawiałyśmy się w kolejce, uzbrojone w poszczerbione



111515

miski i naczynia przeznaczone do zgoła innych celów /nocne/. Więzień "Józek" - jak go powszechnie nazywano - pomagał często przy rozdawaniu paczek z domu i z Czerwonego Krzyża, a także odbierał od więźniarek puste puszki lub pudełka.

Bez zdziwienia przyjęła Ziuta Owemaltinę. Natychmiast obdzieliła nią wszystkie towarzyszki, wyjaśniając szybkość redzinnej przesyłki swoim wcześniejszym uwięzieniem i przetrzymaniem na Gestapo. Na drugi dzień mogła zwrócić pustą puszkę do rąk "Józka". Kiedy nawiązałyśmy bliższy kontakt, oznajmiła mi, iż poznała mnie od razu. Puszka od Cyrankiewicza była pozorem dla przesłania w niej "grypsu" z informacją, do czego może przyznać się na Gestapo. W tej puszcze dała Cyrankiewiczowi pocieszającą odpowiedź - że jest tylko zakładniczką za swego męża. Z tej strony więc mi nic już nie groziło.

Odkrycie sprawnej organizacji w więzieniu napełniło mnie optymizmem mobilizującym do pracy. W sierpniu wkrótce po przeniesieniu nas z Montelupich do budynku Zakładu Helclów, Maria wyszła z więzienia. Wcześniej już zapowiadała w celi, iż nas opuści. Kładąc pasjansa z kart "kartonikowych" żartowała na ten temat. Mnie wtajemniczyła w swoje przypuszczenia. Według jej obliczeń gestapowcy muszą zakończyć już jej sprawę. Czeka ją śmierć w czasie ostatniego przesłuchania - lub wolność szpiegowana. Wypadło to drugie. Smutno było w celi, gdy brakło komendantki. Cieszyłyśmy się z jej wolności, lecz brak jej autorytetu odczuwałyśmy do końca naszego pobytu. Objęłam obowiązki komendantki celi - na szczęście niedługo to trwało. 8 września 1941 roku przeniesiono mnie z trzema innymi kobietami do celi transportowej, gdzie przygotowano pierwszy transport 120 kobiet do obozu koncentracyjnego - jak później stwierdziłyśmy - w Ravensbrück.



Wiadomość o Marii otrzymałam wiosną 1943 roku już w obozie. Przyniosły ją Maria Bortnowska i Urszula Wyrwicz, gdy przyjechałyśmy z więzienia przy Aleksander-Platz w Berlinie. Maria razem ze swoją przyjaciółką Urszulą Świczekowską<sup>x</sup> z Krakowa czekała tam na uprawomocnienie wyroku śmierci. Tym razem bez śledztwa wydano wyrok na tę dzielną kobietę. Gestapo schwyciło ją z dowodami. Z relacji Bortnowskiej, która Marię przedstawiła jako człowieka niezwyklego, wynikało, że ta mając każdy dzień życia policzony poświęciła się całkowicie współtowarzyszkom.

Bombardowanie Berlina wywołało w więzieniu zrozumiałą panikę i histerię. Maria знаła wszystkie Polki, pracowała bez przerwy w celi chorych, nawiązywała kontakty wewnątrz więzienia i podobno żyła nadzieją, że prędzej wojna się skończy, niż jej wyrok zostanie uprawomocniony. Myślę, że przy jej trzeźwości, była to tylko maska dla innych.

Urszula Wandasiewicz-Wińska  
/obecnie docent Uniwersytetu  
Gdańskiego/ (Sopot, ul. )

---

x U. Świczekowska do 1939 była urzędniczką Poczty Gdańskiej, przeszkolona w grupie dywersyjnej pomorskiej; potem była więziona w Berlinie w więzieniu Moabit, skazana na karę śmierci.

#### IV. K O R E S P O N D E N C J A

- 28. VII. 99 (data wpływu do E. 2.) - list u. Wińskiej do E. 2.  
Rkp. oryg. k. 3, s. 1-6.
- 10. 08. 1999 - list A. Rojewskiej do u. Wińskiej Msp. Kopia,  
k. 2, s. 7-8.
- 14. 08. 99 - list u. Wińskiej do A. Rojewskiej. Rkp. oryg.  
k. 1, s. 9.
- 23. 08. 1999 - list A. Rojewskiej do u. Wińskiej. Msp. Kopia  
k. 1, s. 10-11.
- 23. 08. 1999 - T. u. zwrot (wpłynął do Fund. 16. 11. 99)  
Msp. oryg. k. 1, s. 12-13.
- 20. XII. 1999 - list A. Rojewskiej do u. Wińskiej. Rkp.  
kserokopia, k. 1, s. 14-15.
- 23. maja 2000 - list u. Wińskiej do E. 2. Rkp. oryg.  
k. 1, s. 16.
- 15. XII. 2000 - list A. Rojewskiej do u. Wińskiej. Msp. kopia  
k. 1, s. 17.
- 3. marca 2001 - list u. Wińskiej do Fundacji. Rkp.  
oryg. k. 1, s. 18.
- III. 2001 - korespondencja węgłotuma E. 2. Rkp. oryg.  
k. 1, s. 19.
- 15. III. 2001 - list A. Rojewskiej do u. Wińskiej. Msp.  
kopia, k. 1, s. 20.



Wpłynęło dnia 30.07.99 Strona 285 99  
Liczba 1554 Książki: 199 IV | 1  
Druki, Łacna i inne blzbieta!

Dziękuję za książkę przekazaną mi przez  
p. Ciesielską.

Pięknie i bardzo cenne jest jubileuszowe „Co”,  
czytałem je kilka razy, nie tylko przez moją  
słabą już pamięć (97 l.) ale i nasuwające się  
własne wspomnienia i refleksje.

Pochyliam głowę przed tym, co Pani dokonała,  
przed Pani męstwem, odwagą, cier-  
pliwością, a także przed niezłomną konsekwencją  
i uporą z jakim Pani dążyła i  
dąży do realizacji swoich planów.

Wierzę, że refleksja, jaką się nasuwa do  
fakt, że nasze pokolenie, niezależnie  
od pąk, z których przyszło nam być,  
miało genetycznie zakolorowane „szwabskie  
Polsce”. —

Pochodzą z Małopolski, dawniej Galicji, pa-  
miętam nawet austriacki i „briols galicyjski”  
ska.

Jak Panią wykorzystano PWN - tak mnie  
karcersko. Wolełabym do tajnej obrony  
narcerskiej w Przemyślu i przetrwałaby



IV/2  
zawstę w Gdyni, miedzy miejscami  
rodzinnymi, o tradycjach historycznych  
wiel XII wieku, gdy było grodem wawrzynym,  
a le miejscy już b. biednym; bez brzooby  
krowniej.

Nasze pamioty publiczne wystę harcerek  
twarzyszt rozbijamé na rymten  
złmieni austriackich w listopadzi 1918m  
i ogłaszané w "Wolny Polak".  
Na idealach harcerek: "Sztetec" i "Kontak-  
torata kós mój" i "Sztetec Polak",  
na Uniwersyteci Jagiellońskim ukonieczniam  
polum'stych, wzniemionę pracę elatorsk  
u prof. Gynacego Chrzemnoskiego, przekazy  
mionowczynie jako wychowawczynie w Bites.  
nawé dla obronczest, "Kwikaku Polak".

Ar. 1926/7 narzętem pracę w Seminarium  
Cienieczajistim w Ropczycah, Akwistarsko  
porrietore, o 3 km. od obrzeca Kofejarskiego  
Była tam przewolziare "Orka na ugonie".  
Mogtam tej podofai przez 3 lata, obrzędki me.  
tobom harcerekien.

Ar. 1930/31 przemiosztem się do Dubekni i  
pracowczetem w Trynat, Semn. Nowoczajistim

1/3  
Szkoła miała wysokę ocenę w Kuratorium.  
Szkoła prof. Henryk Tompa, polonista w Szko-  
nym obrzobitym mawczym, Szkoła Akadem  
koniętności, miał już pól najlepzego przy-  
gotowanie i psychowanie mawczym. - Popierał  
inicjatywy pedagogiczne i wychowawcze.

Oprócz jw. polskiego mawczym wychowawczy mawczym.  
Nielisiny do wyspazymy szkole Cariceni i mawczym,  
kaporoponowczem i tygot. w Ruzer Probu (F-F)  
prabitych w szkole poljeńskoi. - Dyrektor wyowczym  
bis; to postać umyglubimie i mawczym  
Przekładé mawczym, - Przewó przygotowczym -  
lisiny mawczymy mawczym.

Nawczem do. Zawska Pracy Obywatelskiej  
Kobót (ZPKW), na którego także stała p. Abs-  
-ciska, noma Pracy do R.P. -

Dotychczasowy się, że powołane wolały  
ZPKK mogis wyspazymol dżoma mawczym -  
- awkumini; gospodarstwo domowe; Krozi  
i Syceni dla organizowanie me post

Kursoni dla gospolymy. - Skopé Koututy me  
brzobem powolaly. na powójni tej akcyj;  
Widzaj jahu to miała mawczem dla powolni -  
siemé kultury żywie wójstwiego, wykonywczym  
mawczem mawczem; Kaczem i Wyszars w Ruzer  
Porrietorej - prac. uszygni: Gospolymy i Krowczim,

Ar 1932 m, wyspazym mawczem na wotmiedzy K.P.



11/4

i automatycznie starłem się przedkimiś  
Rudolfiny Kojśkorcy! Stosowały się o charakter-  
terze tuncanyku - kulturalnyu. bez kulturalne-  
soscun sposobnyu. -

Do kilku latu, jedno rozdownie, o miowoniu  
obrazu niedu, jaki przelatacham, po przedobranis  
"kiedy barakowej" pomienio to, organizowaji. Ktaly  
kustaleu. Poczolubowaj, P. K., -

Kspornimom w tym, by rozjasnie moj' rozstach z  
PWK. Kspolorganizowawam z instruktor klem POK  
z Krakowe kursy samobrony potracilo tuncany,  
gazonaj, z uzytaniem amek i ratownikow.  
w P. K., ZPOK, z grupa moweryalle sruk' pout,  
Awarbau jakub' pogadach!, - Nu nalezadn.  
do PWK. - Byl to rok 1939, -

Kspornime Pami. p. K. i H. Kasilewskich - U  
Zmabem je z Uniwersytetu. -

Haline byla w Rewensbrich, Przywieziome  
po powstaniu: byla bardzo krótko. - Spothadye  
my sie, pomienic chciaba organizowai na  
spusob rozjasnony "pietli" dla obrony przy  
likwidowaji' plozu: Bylam poracimnu temu.,  
Polki w tym miedzynarodowym kumnie  
byly zorganizowane pomienic chciaba wuj



- strony duchownej. Była tużna Drwina  
 Horcenska „Dury” porzeczona przez  
 Dk. karmistynis Jozefa Kauton ze Sleska,  
 Dk. Hasilewska juho putk. A. K. Kolotatka  
 Dk. zebraci zelna piestk. Hostada krym  
 - nioma do pawlobosa faboryarnego.  
 + Uu knata Pani Kemi Tomczakowa, neu  
 Dk. przyidka ze Sleska, byla perwaka, aresto-  
 - wana w Krakowie. Karygnymy sony su'  
 me choutelupich. Hostada w pruzimiu, galy  
 omni porynawioni do Ravensbrück.  
 W 1943 r. przyeziono do obozu Stary  
 X Bortnowska z pruzimiu w Berlinie na  
 Aleksanderplatz. Walszaka omni i pre-  
 - kazala prwelowosci pod Stary i z ktory  
 Dk. byla w celi. - Stary arestowana w  
 pruzimiu do Berlina z materykami,  
 Stary pruzimiu pruzimiu i czekala (100 dni)  
 na jęu pruzimiu. Wtedy ze  
 pruzimiu nie zalezis pruzimiu. - Berlin  
 byl wtedy ju bombelotany,  
 90 pruzimiu pruzimiu pruzimiu  
 z Stary. Pruzimiu Kol. do Stary  
 Dobrowolsky z NSP w Kautowach

by je volacyste na jatvins polovnas  
manazvici! - Kicdy poveryste na  
Kvoricu seli volacost sis kras - "Aerit  
kijge" - miestety Kol. Dobromolska, o toerms  
pny stole mner, mi mogte sy' skon-  
fekturoi, em' napytai, - Oari Pieu' cas  
oni o Aerit?

Azich' Popu, si Pieu' mosé tek niteusymni  
poruceni. Je jni miestety vol kiltu lut  
mi pnychobly z obom. -

Pemisteni, se vstatni vax spotkerbyšny sy'  
re Supoci paparku.

Šolyby Pieu' byle rotye rodu re Supoci  
i pnychobly mmi volacost, mogetylyem  
porucenié jessere o jinnyh spravné,  
ijmá písky a trvaleu i pnychobly mnyras' -  
- mni.

Sevdasmi Pamiš poruceni  
i pnychobly olalsy v roveny  
pracy.

M. Kinská

81-464 Supat

tel.



MEMORIAŁ  
General Marii Wittek

T. 1817/WSK  
10/7  
Toruń, dnia 10 08 1999r.

2002 1924/WSK/99

Pani Urszula Wińska

ul.

81 - 764 SOPOT

Szanowna, Droga Pani!

W imieniu Pani Profesor Elżbiety Zawackiej dziękujemy bardzo Pani za korespondencję, która wpłynęła do Fundacji 30 07 br.

Informujemy Szanowną Panią, że w naszym Archiwum założyliśmy Pani teczkę osobową o sygnaturze inwentarza 1817/WSK w której umieściliśmy zaświadczenie z Bochni i 5-cio stronicowy list- bardzo cenny w informacji o Pani zaangażowaniu w służbie konspiracyjnej w okresie okupacji.

Niektóre nazwiska koleżanek o których wspomina Pani w liście mają w naszym Archiwumteczki osobowe: Halina Wasilewska, Maria Tomczakówna zamężna Ombach. Mamy także informację o Marii Bortnowskiej, że ma teczkę SPP w Londynie/ żyła w latach 1895 - 25 01 1972/ Sądzymy, że właśnie o tę M. Bortnowską pyta Pani ( być może uzyskamy kiedyś materiały o Niej)

Mamy także do Pani serdeczną prośbę. Prosimy o napisanie własnej relacji ze służby konspiracyjnej w okresie okupacji( załączamy Schemat Relacji WSK)

Mamy karty informacyjne o Pani, że należała Pani do PWK, od 1940r do ZWZ. ( czy była Pani zaprzysiężona?) W liście wspomina Pani o uczestniczeniu w tajnym harcerstwie, współorganizowała Pani z instruktorkami PWK w Krakowie kursy samoobrony przeciwlotniczej. Z wyjaśnień listu rozumiemy, że w 1939 roku już Pani nie należała do PWK ? O pracy w tajnym nauczaniu mamy zaświadczenie. Dla wzbogacenia relacji prosimy uprzejmie Panią o przysłanie zdjęcia z okresu okupacji lub okresu powojennego.

Cieszymy się bardzo z kontaktu z Szanowną Panią. Wysyłamy Informację - Memoriał General Marii Wittek. Informujemy, że z inicjatywy „ Memoriału” są organizowane uroczystości 100 - lecia urodzin General Marii Wittek. 8 sierpnia br. we wsi Trębki - odsłonięcie tablicy pamiątkowej. 16 sierpnia br - odbędą się

uroczystości w Warszawie. Na pamiątkę wysyłamy Pani kserokopię  
Zaproszenia.

14/8

Serdecznie Panią pozdrawiamy. Życzymy wiele zdrowia i pomyślności  
w życiu. Prosimy Panią o odpowiedź.

Z wyrazami najwyższego szacunku

mgr Anna Rojewska

*Anna Rojewska*

Dokumentalistka Archiwum WSK/ odpowiedzialna za kontakty z woj.  
pomorskim/.





Sopot 14.08.99.

IV/3

KM

Wpłynęło dnia 19.08

Ldz. 2041/42/99 RW

Pani mgr.

Aunia Rogowska

Dokumentalistka Archiwum

W S K w Toruniu.

Dziękuję za list i pismo, które otrzymałam  
13.08.

W liście do p. profesor Żurawskiej spotkałam  
p. Anieś Tuwajewską. Uczestnicząc w  
tę kłótnię i proszę o jej adres i jakiej bliż-  
szej informacji.

Skoro już autoryzuję moją pracę, postę-  
pować się przystać na wszelkie prop. polepszenia  
schematu. To trochę potanie, że przysłała  
me moją notkę, już niesprawną.

Łęka serdecznie pozdrawia  
-nia dla p. Profesor i Pani.

Anna W. W.

81 464 Sopot

10/10

Toruń, dnia 23 08 1999r.

**MEMORIAŁ**  
*General Marii Wittek*

*Kopio,  
2 dn/ 2010/WSK/99*

Szanowna Pani  
doc. dr Urszula Wińska  
87 - 764 SOPOT

Szanowna, Droga Pani!

Dziękuję za tak szybki odzew. Dziękuję za miłe pozdrowienia. Odwzajemniam się serdecznie i życzę Pani wiele zdrowia, radości i pomyślności. Bardzo się cieszę z kontaktu z Panią. List do p. prof. Elżbiety Zawackiej zawiera tak dużo cennych informacji z Pani działalności konspiracyjnej z okresu okupacji, że w naszym Archiwum założyłam Pani teczkę o numerze inwentarza 1817/WSK.

Oczekuję relacji Pani i zdjęcia. W poprzednim liście poinformowałam Panią, że Maria Tomczakówna, zam. Ombach ma w Archiwum WSK teczkę osobową o sygnaturze inw. 359/ WSK. Prosi Pani o Jej adres. Mam dla Pani smutną informację o Niej. Z listu męża M. Tomczak płk. Ombacha / list z dn. 29 04 1974r./ W związku ze sprawą grupy dywersyjno- sabotażowej w Krakowie aresztowana 28 I 1941r. przebywała na Monteluppich do 11 IX 1941r. Aresztowana ponownie 8 VIII 1942 r. do 14 IV 1945r. w więzieniach: na Monteluppich, Aleksander Platz w Berlinie, Ambach. Nabawiła się ciężkiej choroby serca i w marnym stanie zdrowia dostała się do polskiego 2 Korpusu w Italii, pracowała w Delegaturze PCK w Ankonie. W 1946 r. wyjechała do Anglii.



W czerwcu 1946 r. wyszła za mąż za płk. Ombacha. 1965 zapadła na leukemię /białaczkę/ Nieuleczalnie chora zmarła w czerwcu 1971r.

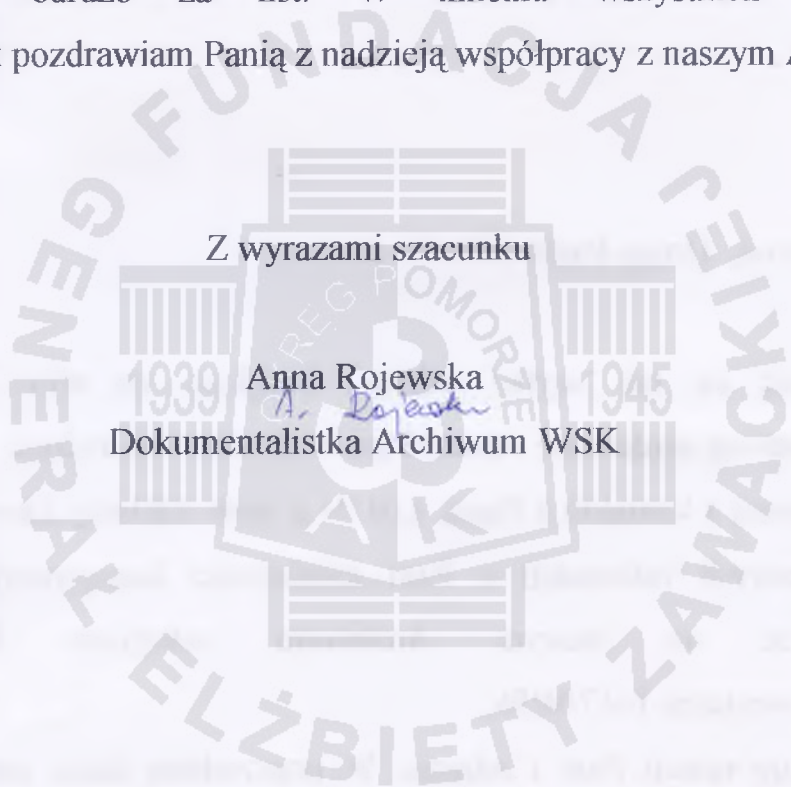
List zakończył takimi słowami, „ chcę dodać moją osobistą uwagę na temat śp. mej żony, gorąca patriotka nie w słowach, a w czynach, niezłomny charakter i gorące serce, była mi najlepszym przyjacielem i towarzyszem również w najcięższych chwilach. Noszę jej obraz w sercu i wspominam ją zawsze z największym uznaniem”

Wysłałam Pani na pamiątkę zdjęcie Tomczakówny.

Dziękuję bardzo za list. W imieniu wszystkich koleżanek-dokumentalistek pozdrawiam Panią z nadzieją współpracy z naszym Archiwum.

Z wyrazami szacunku

Anna Rojewska  
*A. Rojewska*  
Dokumentalistka Archiwum WSK



Toruń, dnia 23 08 1999r.

# MEMORIAŁ

*General Marii Wittek*

L. ob. 2070 / 454 / 99

Wpłynęło dnia 16.11.99  
L.dz. 3256 / 454 / 99

Szanowna Pani

doc. dr Urszula Wińska

87 - 764 SOPOT

Szanowna, Droga Pani!

Dziękuję za tak szybki odzew. Dziękuję za miłe pozdrowienia. Odwzajemniam się serdecznie i życzę Pani wiele zdrowia, radości i pomyślności. Bardzo się cieszę z kontaktu z Panią. List do p. prof. Elżbiety Zawackiej zawiera tak dużo cennych informacji z Pani działalności konspiracyjnej z okresu okupacji, że w naszym Archiwum założyłam Pani teczkę o numerze inwentarza 1817/WSK.

Oczekuję relacji Pani i zdjęcia. W poprzednim liście poinformowałam Panią, że Maria Tomczakówna, zam. Ombach ma w Archiwum WSK teczkę osobową o sygnaturze inw. 359/ WSK. Prosi Pani o Jej adres. Mam dla Pani smutną informację o Niej. Z listu męża M. Tomczak płk. Ombacha / list z dn. 29 04 1974r./ W związku ze sprawą grupy dywersyjno- sabotażowej w Krakowie aresztowana 28 I 1941r. przebywała na Monteluppich do 11 IX 1941r. Aresztowana ponownie 8 VIII 1942 r. do 14 IV 1945r. w więzieniach: na Monteluppich, Aleksander Platz w Berlinie, Ambach. Nabawiła się ciężkiej choroby serca i w marnym stanie zdrowia dostała się do polskiego 2 Korpusu w Italii, pracowała w Delegaturze PCK w Ankonie. W 1946 r. wyjechała do Anglii.



W czerwcu 1946 r. wyszła za mąż za płk. Ombacha. 1965 zapadła na leukemię /białaczkę/ Nieuleczalnie chora zmarła w czerwcu 1971r.

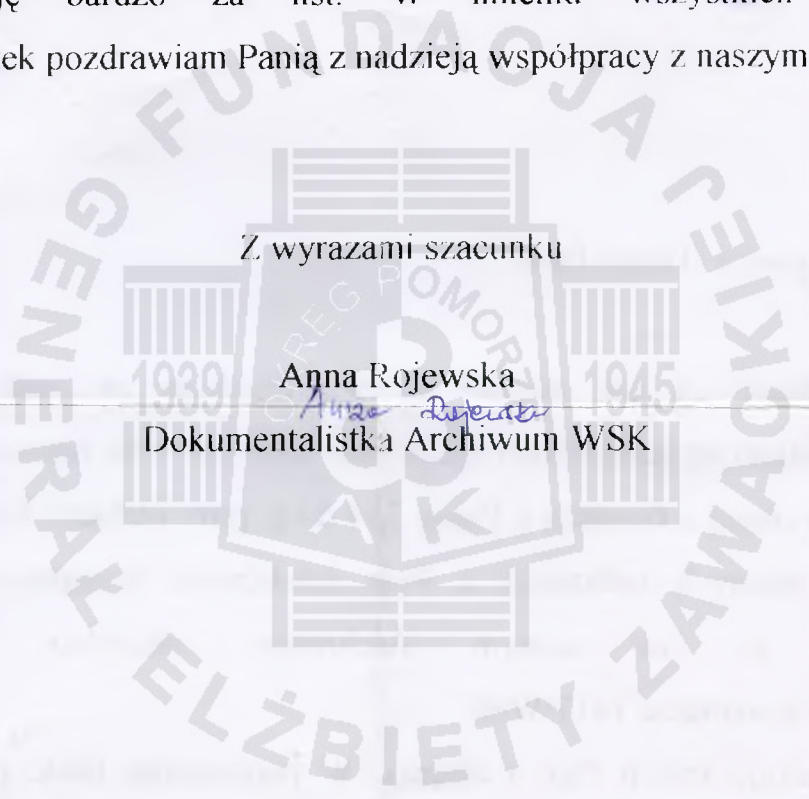
List zakończył takimi słowami, „ chcę dodać moją osobistą uwagę na temat śp. mej żony, gorąca patriotka nie w słowach, a w czynach, niezłomny charakter i gorące serce, była mi najlepszym przyjacielem i towarzyszem również w najcięższych chwilach. Noszę jej obraz w sercu i wspominam ją zawsze z największym uznaniem”

Wysłałam Pani na pamiątkę zdjęcie Tomczakówny.

Dziękuję bardzo za list. W imieniu wszystkich koleżanek-dokumentalistek pozdrawiam Panią z nadzieją współpracy z naszym Archiwum.

Z wyrazami szacunku

Anna Rojewska  
*Anna Rojewska*  
Dokumentalistka Archiwum WSK



IV / 14

FUNDACJA  
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej  
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń  
fax/☎ (0-56) 65-22-186  
Konto: WBK II Oddział w Toruniu  
10901506-4675-128-00-0

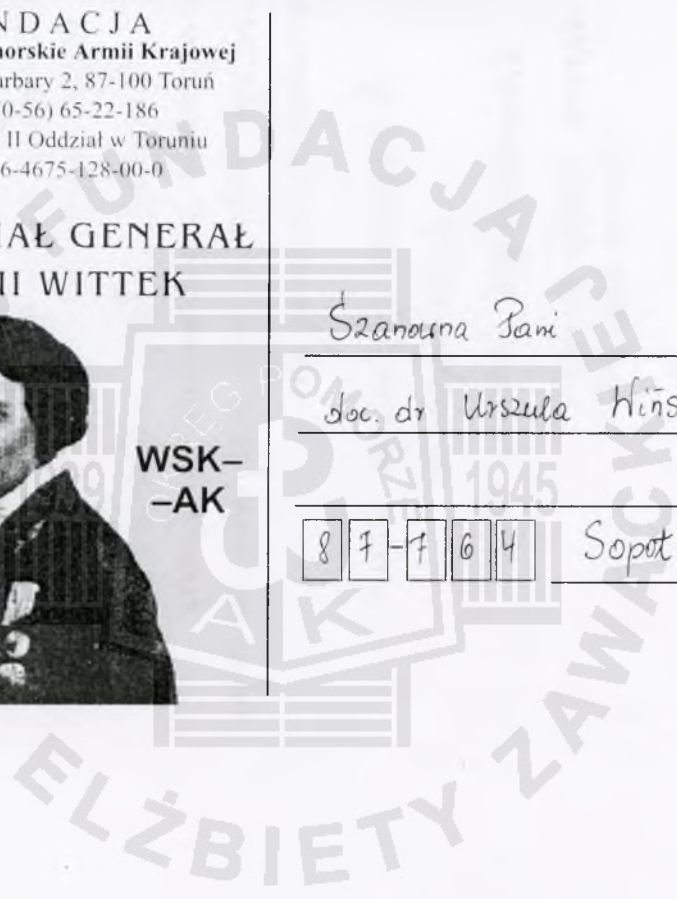
MEMORIAL GENERAL  
MARII WITTEK



POW  
PWK

WSK-  
-AK

Szanowna Pani  
\_\_\_\_\_  
doc. dr Urszula Hirska  
\_\_\_\_\_  
8 7 - 7 6 4 Sopot  
\_\_\_\_\_





L.d. 3469 / 481 / an

IV / 15

Toruń, 20 X 1993a.

Szanowna, Dobra Pani,

Dziękujemy Pani bardzo za ostatnią korespondencję  
- bardzo cenne materiały o M. Tomczakównie.

Prosimy także o Pani osobistą relację -  
wtedy, że nie jest to proste pisać o tamtych  
czasach - ale jak bardzo potrzebne.

Do relacji prosimy dołączyć swoją fotografię  
(zdjęcie latynalskie)

Pozdrawiamy Panią serdecznie i prosząc  
o odpowiedź zapraszamy do współpracy  
z naszym Archiwum, gdyż zależy nam na stałych  
kontaktach z Szanowaną Panią.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Anna Rojevska

Dokumentalistka Archiwum WSK

W związku z Białym Fundacją  
Schemat Relacji WSK

IV/16 Sopot, 23 maj 2000

ΣΖ,  
Drogi Panie Kłobucki!

ΣΖ  
Wpłynęło dnia 30.05.  
Ldz. 22.12 RED WSK 2000

Posyłam, jak obiecałem, mój raport i informacje  
o pracy sporządzonej!

Wziąłem też zaopiniować ten schemat, który otrzyma-  
łem. Okazało się, że na pewno przeobrazi się o  
tej porze. A moim zdaniem wspomniany raport jest  
już aktualny fillem.

Już mi może formalizacji zaopiniował w/s schematu,  
Kostomien to Pamiód o decyzji, czy zostanie  
zrobione, czy wybiorę Panie materiał w/s schematu  
Podziwiam Panie energię.

Jeżeli chciałbyś jeszcze spróbować uzyskać tego S. P. Otera.  
Ale przy mi się wola mi mieć.

Serdecznie pozdrawiam i życzę  
dużo siły do tej biurokratycznej pracy.

h. Kłobucki.



**MEMORIAŁ**  
*General Marii Wittek*

IV/17

Toruń, dnia 15 XII 2000r.

1.dz 3766/WSK/2000

*Kopia*

Szanowna Pani  
doc. dr Urszula Wińska  
ul.  
87- 764 SOPOT

Wielce Szanowna Pani,

W imieniu Pani Profesor Elżbiety Zawackiej dziękujemy bardzo za przysłane materiały archiwalne. Pani relacja obszerna, interesująco napisana jest cennym nabytkiem dla naszego Archiwum. Cieszymy się także ze zdjęć. Tak pięknie zachowana fotografia z obozu PWK wzbogaca nasze zbiory ikonograficzne, pamiątek z tego okresu mamy niewiele. Pragniemy też poinformować Szanowną Panią, że 9-tego września br. w dawnym obozie PWK w Garczynie k/ Kościerzyny p. prof. E. Zawacka i minister J. Taylor dokonali odsłonięcia tablicy poświęconej Założycielce Obozu Garczyńskiego w 1928r. General Marii Wittek. W tej pięknej i tak ważnej dla naszej historii i kultury uroczystości uczestniczyło 18 Pewiaczek.

Zachęcamy Panią do opracowania życiorysu śp. Małżonka Pani.

Wysyłamy Pani materiały informujące o działalności Fundacji i Memoriału General Marii Wittek. Jeszcze raz dziękujemy serdecznie za wszystko, życzymy dobrego zdrowia, spokoju, który niesie ze sobą noc Wigilijna, pogodnych Świąt Bożego Narodzenia oraz spełnienia pragnień w Nowym Roku.

Z wyrazami głębokiego szacunku

*Anna Rojevska*

mgr Anna Rojevska

Dokumentalistka Archiwum WSK

W/18  
Sopot 3 marca 2001

Fundacja

Archiwum Pomorskiej Armii Krajowej  
w Toruniu.

Ze względu na życzeniem P. Prof. Kazimierza  
porożyłem spis życia i działalności mego młodego  
Tomasza Rudolfa - Kłuskiego.

• Druka Tomasz de Gólski z sterba. oła stęży!

Urządła Kłuska

Sopot.

P. o.

Przepraszam za formę - ale 99-letniemu osobie  
niektórym myślenie

Wpłynęło dnia 12.03.  
Licz. 615 HSK 0001



14/19

Pracę w moim moim  
podziemiu podziemiu  
nał prof Winicki  
Pracę dał  
relacji o jej życiu do  
jej książki

11-2007

27

1939

1945

AK

GENERAK

ELŻBIETY

ZAWACKIE

FUNDACJA  
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej  
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186  
87-100 TORUŃ

10/20  
Toruń, dnia 15 III 2001r.

Pani doc. dr Urszula Wińska  
ul.  
87-764 Sopot

Kopia

1.dz.667 WSK 2001

62 p. 613

Wielce Szanowna Pani,

Wciąż jestem pod dużym wrażeniem Pani życiorysu - wspomnień pt. „Przez życie człowieka przeplata się historia”. Z wielką radością przyjąłm następną przesyłkę w dniu 12 III br. zawierającą opis życia Pani Męża „Droga Tomasza do Polski i służba dla Niej”. Wspomnienia przeczytałam natychmiast czując Pani obecność przy sobie. Jestem zafascynowana Pani Osobą, życiową mądrością, szlachetnymi walorami moralno - etycznymi. Pragnę też powiedzieć Pani, że przeczytałam Pani książki. („Zwyciężyły wartości”, „Losy więźniarek z Ravensbruck”). Doznałam wiele wzruszeń. Książki te mają olbrzymie znaczenie wychowawcze dla czytelnika.

Droga Pani, przysłane wspomnienia o Pani Mężu przekazane będą Pani Profesor w dniu 18 marca do Ciechocinka, gdzie przebywa w sanatorium do końca miesiąca..

Mam nadzieję, że p. prof. Zawacka napisze do Pani.

W imieniu całego zespołu pracowników Fundacji serdecznie Panią pozdrawiam, życzę wiele zdrowia i pogody ducha.

Z wyrazami głębokiego szacunku

*Anna Rojewska*  
mgr Anna Rojewska

dokumentalistka Archiwum WSK



J. 1817/USK

242, T.N.  
Kl. RavenSB.

++

WIŃSKA Urszula

v. Nazwiskowe karty informacyjne: 1

T. 1817/WSK

PS  
ZWZ  
Oboz Ravensbrück

WINSKA Urszula



URSZULA WINSKA, ur. 1902. W 1939 działaczka Pogotowia Społecznego w Bochni. Zaprzysiężona w ZWZ w 1940. Aresztowana w Krakowie w lipcu 1941. Od listopada 1941 więźni obozu Ravensbrück, gdzie prowadziła tajne nauczanie. Mieszkała w Sopocie.

Ł. Zawacka, Czekałpa na rozkaz, 3.



J. 1817 / WSK

242  
Tajne Naczn.  
ilustracje

++  
Wińska Elżbieta

vi. Fotografie:

1. Zdjęcie oryginalne - Ropczyce 1927/28. Kiers PAK  
Fot. pocztówkowa.
2. Zdjęcie oryginalne, grupowe, Warszawa 1934r,  
Zjazd delegatów 2 PK.
3. Zdjęcie oryginalne, pocztówkowe, Rodzina Wojskowa,  
Bochnia 1933/36.
4. Fotografia oryginalna mgie relatoru Tomasza  
Wińskiego-Radziana z legitymacji Osobistej.











Wzrost 1934  
Zjazd delegatów Z.P.K.

VII 2









VII 13

Rocznik Huj'ski  
Buczyni 1935/36.

1939

1945

OIREG POMOCZAKI  
Kl. Gargaloga

FUNDACJA ELŻBIĘTY ZAWACKIEJ







T. 1817/IVSK  
Nie skanuj.

ZWZ  
Tajne Nau  
Kraków

WIŃSKA Urszula

z d. Wandasiewiczówna

---

VI. Fotografie

1. zdj. legitym. powojenne, [b.d.]  
oryg. (4x5,8) int. 1.



WIŃSKA Urszula

